BLUSZCZ

Społeczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiecy

ROK LXI WARSZAWA, DNIA 20 PAŹDZIERNIKA 1928 ROKU NR 43

TREŚĆ NUMERU: Światło pod korcem—*Z. Zaleska.* Walka z wampirem—*M. H. Szpyrkówna.* W odpowiedzi — *Zofja Rzepecka.* Poezje: „Podróż". „Westchnienie"—*Hanna Mortkowiczówna.* Niepotrzebne wzruszenie (nowela) — *Herminja Naglerowa.* Czujny stróż—*Z. Reutt-Witkowska.* Sztuka Rokoka—*Wacław Husarski.* Dusza kobiety (c. d.)—*Gina Lombroso.* W dwudziestą rocznicę skonu Deotymy—*N. J.* Z teatrów —*H. N.* Kobieta w świecie i w domu—*N. J. i H. S.* Saffa—*P. M.* Wykształcenie zawodowe kobiet—*Zofja Miszewska.* Wystawa berlińska „Odżywianie" (dok.)—*Kamilla Chołoniewska.* W sezonie polowań—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta.* Dodatek „Mody i roboty": Okrycia na zimę — *Well.* Dodatek powieściowy: „Oblubieńcy" — *M. Benisławska.* Arkusz wzorów.

ŚWIATŁO POD KORCEM

Przy tylu zarzutach, jakie stawiane są — niestety, w wielu wypadkach słusznie — współczesnemu pokoleniu, z kilku stron równocześnie zwrócono uwagę na konieczność przekazania pamięci następców naszych tych kart poświęcenia, ofiarności i pracy, jakie łatwo ulegają zapomnieniu. Rzeczywiście: rejestruje się setki błędów, przestępstw,—nie mówi się o czynach do naśladowania. Gdy nasi potomni przeglądać będą roczniki pism codziennych, wyrobią sobie przeświadczenie, że mieliśmy w społeczeństwie większość złodziei, bandytów, różnego gatunku kryminalistów. Gdy wezmą do ręki beletrystykę, będą czytać o lekkomyślnych, próżnych, romansujących na prawo i na lewo, różnych „Muszkach", „Ziutkach" etc. Dowiedzą się, że—jakoby—zanikły cnoty, honor, odwaga, że wszystko tak nagle dziwnie zmalało: i ludzie, i ich czyny.

A przecież tyle mamy pracy dokonanej za sobą, tyle wciąż spotyka się i cichego bohaterstwa i dzielnych typów, zwłaszcza kobiecych, zagubionych gdzieś na placówkach społecznych, oświatowych, kulturalnych po całym kraju! Doprawdy, że należy im się—choćby wśród rzesz kobiecych—pamięć serdeczna i zachęta gorąca. Pisma nasze—kobiece—powinny poprostu stworzyć jakąś specjalną rubrykę i z pomocą swych czytelniczek rejestrować, czy to w formie życiorysów, czy obrazków, fakty i prace, które w drugich obudzą otuchę, choćby przekonaniem, że nie walczy się w pojedynkę, że się należy do wielkiej armji, która „każdy swój pacierz kończy słowem: Ojczyzna!" Tyle jest tych cichych, szarych pracownic, nie wiedzących wzajem o sobie i nie widzących w swej pracy nic nadzwyczajnego, jak to zdarza się właśnie tym, którzy dopilnowują sami swego rozgłosu!

Te wszystkie refleksje przyszły mi na myśl, gdym przeglądała archiwum Klubu Wioślarek, podczas obchodu ich 15-lecia.

— Gdzie macie sprawozdanie o pracy waszej czołówki, podczas bolszewickiej inwazji?

— Jest wzmianka w „Gazecie Porannej" z dnia...— prezeska pokazuje mi numer gazety, gdzie Przemysław Mączewski w korespondencji z frontu wspomina w paru słowach o spotkaniu czołówki.

— I nic więcej?

— Nic. Poprzedni zarząd nie zażądał raportu. I tak jakoś zeszło.

Gdy po przyjściu do domu sięgnęłam po teczkę z napisem: „Rok 1920", zanim znalazłam szukany dokument, wpadł mi w niej w oczy artykuł ś. p. Władysława Rabskiego w „Kurjerze Warszawskim", z dn. 20 kwietnia 1920 r.: „Czerwony sznurek i niebieska wstążeczka". Świetny publicysta pyta z gryzącym sarkazmem, gdzie są sanitarjuszki polskie:—„Front woła, a wy tańczycie!?"—Ten artykuł pozostanie „dokumentem" chwili. Wszedł już i do zbioru artykułów zmarłego, wydanych pod tytułem: „Walka z Polipem".

Czyż nie słusznem jest zatem, by przeciwstawić mu ten krótki — iście żołnierski raport jednej z sanitarjuszek z r. 1920, którego tytuł brzmi:

CZOŁÓWKA WIOŚLAREK

„W lipcu 1920 r., gdy nawała bolszewicka zagrażać jęła Rzeczypospolitej, Warszawski Klub Wiośla-

rek sformował kolejową czołówkę sanitarną z grupy swych członkiń pod wodzą naczelniczki przystani — Stanisławy Hahnówny. Czołówka wyruszyła na front w kierunku Łap, pełniąc coraz intensywniejszą pracę.

Dnia 17 sierpnia przyłączono ją do II kompanji I pułku czołgów i wraz z całą grupą pancerną, dowodzoną przez poległego wkrótce pod Ciechanowem ś. p. majora Nowickiego uczestniczyła w ofensywie na Nowo-Mińsk, Ciechanów i Mławę. W bitwie pod Ciechanowem czołówka traci lekarza — dr. kapitana Mikołajczyka, ciężko rannego w ręce i oślepionego.

We wrześniu czołówka wraca na wypoczynek do Warszawy, gdzie odłączona zostaje od pułku czołgów. Zgodnie z zarządzeniem M. S. Wojsk., „dzika" czołówka zostaje przeobrażona na czołówkę sanitarno-kolejową nr. 73, nadal jednak popularnie zwaną „Czołówką Wioślarek". W szybkiem tempie odbywa się kapitalny remont i zaopatrzenie czołówki, liczącej już dwadzieścia kilka wagonów. W pracach tych bierze udział cała załoga, niecierpliwie dążąca do wyjazdu na front.

Przydzielona przez kierownictwo transportów wojskowych do II armji, do dyspozycji szefa sanitarnego pułk. dr. Wład. Osmólskiego, czołówka—obecnie jako epidemiczna—pod komendą por. Ciećkiewicza i ppor. Wasilewskidgo (stud. medyc. Warsz. Uniw.), przewozi transporty chorych infekcyjnie z Nowo-Święcian i Mołodeczna do Białegostoku. Okres to niezwykle wytężonej pracy — czołówka przeobraża się niejako w ruchomy szpital o kilkuset chorych. Szczupła ilość personelu zmusza Wioślarki do czuwania bez przerwy przez całe doby, dniami i nocami, przy chorych w trudnych do opalania wagonach, a w dusznej atmosferze wyziewów i gorączki. Wkrótce też w warunkach takich cała załoga pada ofiarą zarazy, do ostatniej jednak chwili przytomności niosąc pomoc chorym i czuwając u ich łóżek.

W sam wieczór wigilijny—24 grudnia 1920 roku—pociąg pozostaje wreszcie gdzieś w okolicach Nowej Wilejki, prawie bez opieki: nieprzytomni w gorączce tyfusu plamistego leżą już ppor. Edward Walewski, siostry-Wioślarki: Janina Borakowska, Marja Michalska, Julja Skorobohata, Marja Wilczyńska oraz dwunastu szeregowców-sanitarjuszy.

Czuwają jeszcze siłą woli, mimo zupełnego wyczerpania, komendant por. Ciećkiewicz, dwie siostry-Wioślarki: Stan. Hahnówna i Zawadzka, oraz kilku żołnierzy-sanitarjuszy. Tak docierają do Lidy, by oddać przewożony transport chorych, wraz z chorą na tyfus plamisty załogą, szpitalowi etapowemu „Łuck" i szpitalowi ewakuacyjnemu.

Czołówka Nr. 73—jako czołówka Wioślarek—przestaje istnieć".

Koniec raportu. Nie, jest jeszcze po drugiej stronie dopisek: „Dzięki jaknajtroskliwszej opiece pułk. dr. Osmólskiego i personelu szpitala etapowego, cała załoga Czołówki Wioślarek przebyła szczęśliwie tyfus plamisty".

* * *

Oto suchy raport. Na jego tle nie osnuje błyszczącej rakietami dowcipu opowieści żaden znawca „Siedmiu dusz kobiecych". Zapadają takie raporty w otchłań niepamięci —najczęściej—nienapisane.

— Bo poco? Wszakże tu spełniono tylko prosty obowiązek!

Dziś większość tych sióstr-Wioślarek z czołówki Nr. 73 — to matki, pogrążone w wychowaniu swoich dzieci. Wróciły z frontu bez oznak żadnych, bodaj medali pamiątkowych, i cały ten półroczny okres bohaterskiego wysiłku utonął w ich własnej pamięci kędyś w dalekości mglistej. Jestem przekonana, że ich własne dzieci ze zdumieniem kiedyś—ot, z tego rocznika „Bluszczu" conajwyżej—dowiedzą się, że „mamusia była na froncie." Zato o dancingach, kosmetykach, etc. etc., o tym „zaniku ideałów", o „epidemji sportów wśród kobiet," poinformuje je „historyk" obyczajów współczesnych, sięgający do pism codziennych, jako „odźwierciedlających życie.".

Nasza prasa kobieca spełnia ważne zadanie rozpatrywania, ustalania i pogłębiania poglądów na najrozmaitsze sprawy, które wrazie, jej nieistnienia, popodejmowane byłyby i nadal w różnych organizacjach, lecz nie docierałyby do tak szerokich rzesz. Konieczna jest jednak — dla nas samych, dla dobra sprawy kobiecej — współpraca czytelniczek przez nadsyłanie wszelkich informacjj i materjałów, bodajby do opracowania redakcyjnego. Jakże inaczej utrzymamy kontakt ze sobą? Jakże uchronimy od zagubienia fakty, godne pamięci? A ileż to bodźca i pomysłów twórczych można dać sobie wzajem na różnych polach pracy przez komunikowanie poszczególnych poczynań!

Nie chowajmy tylko—naszym zwyczajem—światła pod korzec.

Z. Zaleska.

M. H. SZPYRKÓWNA

WALKA Z WAMPIREM

Człowieka, który świeżo wrócił z szerokiej Polski, z jej prześlicznych, a tak różnorodnych krańców, z jej nawpół niewykrytych jeszcze przez wielką część własnego społeczeństwa zakątków, pełnych pierwotnego uroku: poraża pierwsze zetknięcie z miastem. Poraża i — przeraża. Z ciszy, przestrzeni i spokoju czuje się nagle schwytany w żelazne tryby rozpędzonej machiny, z którą razem musi gnać na oślep —chce, czy nie chce: inaczej samą siłą pędu zostanie odrzucony za nawias, znajdzie się na marginesie właściwego stolicy życia. Może to i warto? Może tak i trzeba? Może czasem dobrze jest znaleźć się na marginesie, aby w nagle powstałej dokoła pustce, z nagle otwartej dokoła perspektywy, trzeźwiej, trafniej i dokładniej ocenić porzuconą treść?...

I w literaturze, i w życiu, coraz częściej się słyszy dzisiaj głos protestu człowieka przeciwko zjadającemu go miastu. Jak potężna ośmiornica, miasto rozpierścienia się dziś nad życiem i wyciąga chwytkie macki po żertwę, jaką stanowi dla niego każdy świeży człowiek. Jak ludożerca z bajki, węszy za nieostrożnym przybyszem, który szuka gościnności u jego migotliwych światełek. Ileż młodych dziewcząt ze wsi, ile kończących szkoły panienek, ile szukających samodzielnego zarobku kobiet co roku kołacze do jego bram! Miasto wpuszcza każdego, kto mu zaufa — ale jakże niewielu wypuści cało! Życie w mieście — to ustawiczne, nieustanne, wytężone do ostatka zmaganie się człowieka z maszyną, która go porwała i chce zgnieść, aby po czasie wypluć tylko przeżartą miazgę. Nie mamy w mieście czasu na nic, co jest właściwem życiem, życiem w tem kosmicznem, szerokiem i wiekuistem znaczeniu — tem, które sięga myślą w przeszłość swoich przedistnień i usiłuje przeniknąć cele i możliwości pośmiertne. Jakże inną musiała być dusza ludzi starożytności, samotnych osadników na wielkich przestrzeniach młodej jeszcze ziemi, którzy czasu nie mierzyli oczyma, przykutemi do zegarka w bransoletce, tylko podnosili je w górę, aby wyliczyć go z gwiazd! Jakże powoli podróżowali, jak wiele umieli widzieć w niewielu rzeczach widzianych, bądź z garbu wielbłąda, bądź z siodła, bądź z przydrożnego kamienia, na którym siadał, aby spocząć w nieśpiesznych swoich pielgrzymkach, od wschodu do zachodu, ciekawy świata wędrowiec! Dziś luksusowe ekspresy przecięły ziemię wzdłuż i napoprzek, a w oczkach tej szachownicy migają poprzez lustrzane szyby hotele, czy wille, stacje kolejowe, czy porty morskie, tak do siebie podobne, że trzeba czasu, aby z pod ogólnego werniksu współczesności wykryć, wyłuskać, odwskrzesić charakterystyczne odrębności miejscowe. Świat ulega standaryzacji, jak wyroby amerykańskie — a miasto jest największym niwelatorem obyczajów, wyglądu i — duszy.

Oczywiście, taki stan rzeczy nie może nie wywołać buntu w jednostkach, które dążą do znalezienia w życiu, poza jego powierzchownym prądem bieżącym, jeszcze głębszej treści. Wyraża się ten protest rozmaicie, stosownie do poziomu jednostki. Jednakże jednym z wybitniejszych objawów jest powszechny zwrot ku sportom, organizowanie turystyki i obozowisk, a w krajach zachodnich — niezmiernie rozpowszechnione zjawisko, t. zw. „week - ends". Week - end— jest to koniec tygodnia, począwszy od soboty popołudniu, a kończąc na poniedziałku rano, kiedy anglik czy amerykanin ginie dla świata, z konieczności znoszonego przez pięć i pół poprzednich dni: zabiera wędki, kije, golfy, piłki, kostjum sportowy czy kąpielowy i na półtora dnia przekształca się w człowieka pierwotnego.

Zwyczaj ten jest znakomity. Nie miałabym dość słów, aby go u nas propagować — u nas, gdzie życie jeszcze nie nauczyło się w całej pełni, ani do ostatka wytężonej pracy, ani też wypoczynku i odprężenia ducha i ciała w całkowitej prostracji, tak umiejętnie stosowanej przez ludzi Zachodu. Amerykanin i anglik na week - endzie dziecinnieją, prościeją, pierwotnieją: miljoner kopie grządki i rąbie drzewo; lord w pocie czoła żwiruje ścieżki, albo z wędką w ręku spędza długie godziny na radosnem wyczekiwaniu, czy złapie dwucalową płotkę, czy nie?.. Gości, odwiedzających week-endziarzy w czasie wypoczynku, nie bawi się bynajmniej, tylko się włącza do sielskich przyjemności rodziny: robią to samo, co domownicy, lub też nie robią nic, byleby nie zaprzątali im sobą głowy i nie psuli upierwotnienia nawrotem do wielkomiejskich konwenansów. Przez półtora dnia anglik wypocznie znakomicie, dzięki znakomitej zmianie trybu życia: wiadomo, że, w myśl teorji uczonych, wypoczynkiem jest niekoniecznie próżnowanie, tylko — zmiana zatrudnień zwykłych na niezwykłe, t. j. na inne.

Otóż u nas week-endy są rzeczą prawie nieznaną, I nie dziw. Nasze podmiejskie miejscowości są jaknajmniej przystosowane do wygodnego, bezkłopotliwego wypoczynku. Ktokolwiek jedzie — jedzie na dłużej. Ktokolwiek wyjeżdża z miasta, likwiduje urządzenie. Trzebaby jechać z garnkami, manatkami, pościelą, co już zatruje przyjemność samemi kłopotami. Piece będą dymiły, opału zabraknie, i szereg innych gospodarczych katastrof stanie na przeszkodzie naszym sielankowym zakusom. Trzebaby jakiejś bohaterskiej inicjatywy, oczywiście — kobiecej! — któraby zorganizowała, mając domek pod miastem w ładnej okolicy, taki „niedzielnik" dla chętnych, w cenie do-

stępnej, i ogłaszała go póty, ażby się zachęcili oporni!

Warszawa jest najuboższa w ładne zakątki podmiejskie, to prawda. Ale Kraków, Lwów, Poznań, ale pomniejsze miasta! Chodziłoby o doskonałą komunikację i planowe upatrzenie kilku odpowiednich punktów, a jestem pewna, że idea niedzielników wiejskich i u nas przyjęłaby się z ogromną dla miast korzyścią. Cóż to się wtedy zwykle dzieje po kinach i szynkach gorszego i lepszego kalibru? widowiskach wątpliwej treści? A zwłaszcza, po parkach ludowych, tej parodji normalnej wiejskiej rozrywki?! A przecież ta niedziela ma być i nagrodą za cały tydzień fabrycznej, czy biurowej mordęgi, i naładowaniem energją na tydzień, który nadchodzi!

Odprężenie fizyczne byłoby więc jednym ze środków obrony przed zachłannym wampirem miasta. Ale istnieją dwie siły, równolegle w człowieku działające, które wzajemnie na siebie wpływają: psychika i fizyka. Odprężenie cielesne wpływa niewątpliwie i na psychikę, ale nawzajem: są i czynniki psychiczne, znakomicie ćwiczące i zasilające cielesną sprawność w życiu. A znowu trzeba powiedzieć, że anglosasi pierwsi docenili ich znaczenie, i ich to literatura, ze słynnemi dziełami Mülforda na czele, szeroko rozpowszechniła wśród współczesności, miażdżonej żelazną machiną miasta — ideę uruchomienia drzemiących władz duchowych, jako odpornik przeciwko zmechanizowaniu i pesymizmowi życia.

Każdy kraj i naród po swojemu przesiewa podawane mu z obczyzny idee, i słusznie: organizmy narodów, jak i ludzi, są różne. W Polsce powojennej daje się jednak zauważyć duży nawrót ku temu, co nazwaćby można: strawą duchową. Dziedziny jej są różne, jak i zainteresowania poszczególnych kółek. Są tam i zbiorowe studja Ewangelji, i zbiorowe czytania, niedoczytanych niejako, dzięki restrykcjom zaborowym, dzieł wieszczów naszych; i nowoczesne dociekania psychoanalizy, i nowe kierunki w medycynie naturalnej; są instytuty Hoene-Wrońskiego, i mesjaniczny, i Odrodzenia Polski, i studjum teologiczne, i wiele, wiele innych. I jest to bardzo znamienne! Odgrywają swoją rolę nietylko, jako przyczynek do pogłębienia danego przedmiotu, ale zwłaszcza — jako czynnik psychiczny dla członków każdego związku poszczególnie. W samej zbiorowości wysiłku jest już potężna pomoc dla jednostki!

Kobieta — bo one to głównie do tych kół i kółek należą, — która, po zakończeniu swego kłopotliwego dnia, wreszcie wieczorem udaje się do swego kółka — wraca — jeśliby już wolno użyć nadużytego szablonem wyrazu! .. wraca zbudowana. Brała udział w roztrząsaniu pewnych problematów, zdanie jej ważyło za lub contra; czegoś się dowiedziała, czegoś może innych nauczyła; ruch psychiczny ożywił organizm jej duszy, jak gimnastyka—ciało.

Przed zwykłemi, zakłopotanemi myślątkami, któremi brukuje codzienne życie swoich najbliższych. aby stąpali wygodniej—przeszumiały, jak orły nad stadem pantarek, nieprzemijalnej wielkości słowa: wieczność, dobro, piękno, ideał. Może są znane, może są zbyt znane! A jednak, jeżeli chcieć w nie włożyć żywą, dzisiejszą treść: jakże nowy sens, jakże wielka i trudna głębia otworzy się nagle oczom! Znam kółko, którego członkinie, między innem, mają za obowiązek przynieść na posiedzenie... siedem łagodności! To znaczy, obowiązane są codziennie przez tydzień, raz w dniu przynajmniej, opanować jakiś odruch niecierpliwości, gniewu, zdenerwowania; znieść jakąś obrazę bez reakcji, powstrzymać zjadliwe słowo własne, ustrzec się od obmowy, przemóc siebie w obcowaniu z niemiłą osobą. Czyż nie wzruszająco proste zadanie? A jak nieskończenie owocne dla gimnastyki psychicznej w życiu wielkomiejskiem — gdzie wszystko jest obliczone na zdenerwowanie, gniew i zło.

W ODPOWIEDZI

Zamieszczony w Nr. 33 „Bluszczu" artykuł p. t. „Trzy kobiety" wywołał wśród naszych Czytelniczek żywy odzew, czego dowodem liczne listy, otrzymane przez Redakcję z różnych dzielnic. Ponieważ pewna grupa pań poczuła się dotknięta wyżej wspomnianym artykułem, dajemy głos jednej z jej przedstawicielek.

Przyp. Red.

W nr. 33 „Bluszczu" w artykule, zatytułowanym „Trzy kobiety", kreśli p. Szpyrkówna trzy typy polek, a mianowicie: królewiankę, poznaniankę i kresowiankę. Wierzymy, że autorka nie chciała być stronniczą, że najwięcej dodatnie zobrazowanie kresowianki wypływa poprostu z lepszego wniknięcia i lepszej znajomości typu kresowego. Nie można wziąć autorce za złe, że sympatycznie określa te kobiety, z któremi się zrosła.

Autorka typ kobiet Kresów wschodnich rozumie—wie, że kobieta tych stron nie mogła być „laleczką", bo „wychowała się w tradycji kobiet, które towarzyszyły mężowi w bitwach i oblężeniach", stąd wytworzyły się w nich „męska inicjatywa, hart, wola".

Kreśląc typ poznanianki, oparty na obserwacjach, poczynionych w sezonie po uzdrowiskach—teren i pora, które pogłębieniu tematu nie sprzyjają — zapomniała autorka, iż poznanianki są także niewiastami kresowemi, z natury rzeczy zupełnie jed-

nakże odmiennemi od typu Kresów wschodnich—tak, jak innym był wróg, który Kresy te ujarzmił, inną jego kultura, całkiem odmienne jego zaborcze działania i metody wynarodowiania.

Typ wielkopolanki także się urobił w zaciętych walkach z wrogiem; stąd nie mogła stać się „laleczką", nie miała czasu dbać o swą „powierzchność", jak królewianka, gdyż istotnie celem jej życia był codzienny, szary, nieraz bardzo nużący, o b o w i ą z e k, wyrażający się w trosce o ład i porządek domowy, o dobre, staranne wychowanie dzieci, o utrzymanie harmonji domowego pożycia, bo r o d z i n a b y ł a w a ż n ą t w i e r d z ą, broniącą nas, wraz z kościołem katolickim, od zalewu germańskiego.

Autorka artykułu „Trzy kobiety" niewiadomo dlaczego zrozumienie powyższych obowiązków u poznanianek charakteryzuje nietylko ironicznie, ale, jak dla nas, boleśnie. Pisze, bowiem, iż „wykładnikiem kobiecej wzorowości w Poznańskiem" jest jeszcze zawsze: „Kinder, Küche, Kirche i Karlchen".

Określenie w n i e m i e c k i m j ę z y k u tych obowiązków, które właśnie w walce z zalewem germańskim były naszą wartością obywatelską i najlepszą obroną, nie może przyczynić się do załagodzenia istniejących jeszcze ciągle tarć dzielnicowych. Nie orężem mogłyśmy zwalczać narzuconą nam i kulturę pruską i przemoc niemiecką, lecz przywiązaniem gorącem do ogniska rodzinnego, które było i, zdaje się, pozostanie jedynem źródłem cnót narodowych — najlepszą skarbnicą ducha narodowego i tego, co jest ducha tego najwyższą mocą, t. j. wiary.

P. Szpyrkówna w książce „Godzina bije" silnie i mądrze przedstawiła współczesne obowiązki obywatelskie. Szkoda, że autorka nie starała się pogłębić charakterystyki trzech typów kobiet polskich lepszem poznaniem warunków, wśród których wzrastały, i zrozumieniem obywatelskiego znaczenia ich właściwości.

Czyż zasługuje na ośmieszenie i zironizowanie np. doglądanie gospodarstwa, a choćby i kuchni, i to w tym celu, by podtrzymać równowagę bilansu domowego, a tem samem i narodowego?

Czy osobiste wychowanie dziecka przez matkę, a nie oddanie go pod opiekę niań i bon, nie jest wyrazem najpiękniejszego rysu kobiecej natury, jakim jest uczucie macierzyńskie, wcielone w czyn? Dlaczego to najszczytniejsze uczucie obniżać?!

Ów „Karlchen", wliczony do ideałów poznanianki—to mąż, któremu ślubowała wierność do śmierci; więc podtrzymanie harmonji domowej przez zrezygnowanie z „dancingu" i „balu" może tylko zasługiwać na uznanie, — kobieta wielkopolska nie wyrzeka się przez to kultury umysłu i duszy, przeciwnie: tę ostatnią podnosi przez ofiarę, a pierwszej może się oddać tem łatwiej, jeżeli na „dancing" nie poszła.

Do owych czterech słów, zaczynających się w języku niemieckim na K, wliczyła autorka i kościół.

Właściwie, wdzięczne powinny być p. Szpyrkównie wielkopolanki, iż raczyła im przyznać, jako jedną z cech „wzorowości", przywiązanie do kościoła. Że ten kościół jest na jednej linji z „Kinder, Küche i Karlchen", to nam nie uwłacza. Wiara, jeżeli ma objawiać się w czynie, a tylko tak ją kościół katolicki pojmuje, musi przenikać i ożywiać wszystkie nasze czynności. Można chwalić Boga i przy kuchni; można, a nawet zaleca się, myśleć o Nim, bawiąc się z dzieckiem; trzeba do Niego się zwracać przedewszystkiem, gdy chodzi o to, aby z owym „Karlchen" móc do śmierci utrzymać ognisko harmonijnie i w miłości. Jesteśmy w Poznańskiem naogół katoliczkami, więc nie chcemy i nie możemy być niemi tylko z chrztu i z paszportu, lecz w każdym objawie naszego życia osobistego, rodzinnego i obywatelskiego.

Jeszcze jedno. Gdyby poznanianka — poza kuchnię, dziecko, męża i kościół—myślą, uczuciem i wolą dalej nie sięgała, skąd powstałyby te najliczniejsze w Polsce, a dobrze zorganizowane stowarzyszenia: Związek Młodych Polek, Związek Kobiet Pracujących, Katolicki Związek Polek, Ziemianek, Włościanek, Narodowa Organizacja Kobiet — które od wielu lat łączą zarówno inteligencję, jak i szerokie koła kobiet w liczbie co najmniej 50.000?! O znaczeniu ich dla kraju czasu niewoli wydał świadectwo znany sekretarz osławionego stowarzyszenia Hakatystów niemieckich, Fryderyk Vosberg w broszurze, wydanej w r. 1912 w Lesznie, p. t. „Die polnische Frauenbewegung" (Polski ruch kobiecy).

W broszurce tej stwierdza autor, iż na terenie Poznańskiego istnieją wielkie organizacje kobiece (grosse Frauenorganisationen), które odznaczają się ż y w ą d z i a ł a l n o ś c i ą w kierunku politycznym, społecznym i zawodowym. Ten r u c h k o b i e c y jednak nie ma cech emancypacji, zdaniem p. Vosberga, lecz charakter wybitnie n a r o d o w y i k a t o l i c k i.

Powyższe określenie pracy wielkopolanek przez znanego polakożercę zawiera zaszczytne dla nas uznanie i może najbezstronniejsze—żadną dzielnicowością chyba nie owiane. Jest to najwyraźniejsze przyznanie nam, iż ponad osobiste prawa umiałyśmy postawić dobro narodu, czego nikt ze społecznie myślących obywateli rysem ujemnym, lub zasługującym choćby na ironizowanie, nazwać nie może.

Zdanie autorki artykułu, iż „poznaniance nie idzie wogóle o pozory" jest w każdym razie dla nas pochlebne. Inna rzecz, że zalecałoby się może lepiej łączyć pożyteczne z ładnem, cnoty — z wdziękiem; lecz wiadomo, że ideały po ziemi nie chodzą, stąd i my odrazu wszystkich powabów nie zdobędziemy. Zczasem niewątpliwie postaramy się nasze wewnętrzne — dla ogółu ważne — wartości przybrać w „pozór" więcej powabny dla oka—tego udoskonalenia jednakże nie przyśpieszą artykuły tego rodzaju, jak „Trzy kobiety" p. Szpyrkówny.

Poznań 2 IX 1928 r. *Zofja Rzepecka.*

HANNA MORTKOWICZÓWNA

PODRÓŻ

Ciekawość jest gorąca, nadzieja jest słodka,
tajemny jest szlak drogi, znaczony na planie,
i odjazdy buńczuczne „Może nas coś spotka?"
i przyjazdy trwożliwe „Co się teraz stanie?"

W rojowisko kamienic trudny dźwięk urasta,
i maleją w ciemności przestrzeni ogromy,
z za szklanych hali dworców niewidziane domy
wyciągają jak ręce obce, inne miasta.

Gdzieś wśród nich jest to miasto i ten dom nieznany,
gdzie przeczuwa Cię w lęku, gdzie już właśnie czeka
kwiat, wrosły korzeniami w cztery cudze ściany,
serce nieznajomego Ci jeszcze człowieka.

WESTCHNIENIE

Czy zawsze trzeba z srogą brawurą młodzieńczą
pozór wszelkiej nieprawdy wyniośle odpychać?
Kłamstwa tak samo pachną i tak samo dźwięczą
i w powietrzu wiosennem tak samo je słychać.

Czy wciąż będziemy błąkać się wśród ostrych cierni,
któremi jad podejrzeń serca nasze rani?
Zamiast wytchnąć swobodnie w słonecznej przystani,
gdzie się ufa najszczerzej i najłatwowierniej.

Czy zgubionej bezradnie w ciemnym lesie przeżyć —
wbrew prawdzie, która sądzi, szczęściu, co się waży —
nie danem mi już będzie choć przez chwilę wierzyć
uśmiechowi twej ciemnej i zdradliwej twarzy?

HERMINJA NAGLEROWA 4)

NIEPOTRZEBNE WZRUSZENIE

(nowela)

A panny mizdrzyły się już trochę obrażone.

— Panie Edwardzie, przecież nie można zawsze słuchać o polityce, ekonomji, formach rządu! — jęczała Ewa.

— I jaki apodyktyczny! — ironizowała już wyraźnie Felicja.

Można się było cieszyć z niezadowolenia pań, ale Lucjan nie był mściwy. Miał teraz swój triumf nad niemi i swoje stanowisko w tym domu, więc wybaczył już, ba! — nawet ze szczętem zapomniał o swoich porażkach i krzywdach. Mrugał tylko porozumiewawczo do Edzia, gdy ten, trochę zawstydzony, podawał sól i za nic nie chciał się przyznać do apodyktyczności.

Trzeba było nawet zgodzić się na chwilę ogólnej rozmowy i nie szkodziło śmiać się z zaczepności Ewy. Tak śmiesznie potrząsała czupryną, drobiąc słówka na chichoty, drwinki i parskania! Nieprzyjemne tylko były jej oczy, bezustannie rozświetlone i godzące wprost w oczy Edzia. Wnet też twarz Edzia rozjaśniała się pustą wesołością, a Lucjan, patrząc na odmienionego chłopca, przypominał sobie z nagłą niechęcią, że przecież gagatek ściął się przy egzaminie! W błyskaniu zębów chłopca było właśnie przyznawanie się do czegoś, co można było potępić i czego należało się nawet—lękać. Lucjan przerywał więc czemprędzej wesołe porozumienie tej pary i prawie z nauczycielską surowością zapędzał Edzia do „ważnych kwestyj".

Czasem, gdy czerwcowy upał przepalał mury, umawiali się na wieczorny spacer do parku. Lucjan zadzierał głowę, aby oczyma dosięgnąć młodego przyjaciela. Zsuwał więc kapelusz z czoła i wytężał głos, przerywany zadyszką. Przysiadali potem na którejbądź ławce, aby odpocząć i trochę pomilczeć. Można wtedy było widzieć, jak nad sinym wnękiem alei czerniły się korony drzew, niby nisko obwisłe chmury. Wokół latarń rozświetlały się liście, jak wycięte z zielonawego mosiądzu, a ciemno-niebieskie płachetki nieba, zaplątane między konary, były bliskie, jakby już, już spaść miały na ziemię. Kroki ludzkie szeptały po ścieżkach, albo kotłował się gwar rozmów, szarpany czyimś śmiechem, czyimś nagłym okrzykiem.

Milczenie odrywało na chwilę Lucjana od towarzysza. Szło się niby bruzdą nawykłych rozmyślań o tem, że w lipcu trzeba będzie wyjechać z miasta, może nad Bałtyk, a może w góry. Wakacje miały swój, odwieczny chyba, porządek — pod większym obszarem nieba, w słońcu i w codziennem próżnowaniu. Więc też nie należało nic zmieniać w ustalonym od lat trybie życia. Choć, doprawdy,—Lucjan uśmiechnął się nieco rzewnie, nieco karcąco — teraz niema takiego pośpiechu z wyjazdem. Możnaby nawet tu, w Warszawie, znaleźć niebo nad Wisłą, a pachnący cień w Ogrodzie Botanicznym. Bo wcale nie trzeba ukrywać, że Edzio byłby miłym towarzyszem. Lubi jego głos, jego logiczne, jakby zwarte rozumowanie, nawet jego popielate brwi, niczem dwa słomiane daszki nad wnękiem oczu. Cieszyło już każde „dzieńdobry", zrodzone w życzliwym uśmiechu. Może tak właśnie, jak cieszy wczesny poranek pogodnego dnia. Nie trzeba zresztą tego uczucia rozkładać na części, gdyż jest skupione w jednem — jest bliskie. Więc też dlatego najtrudniej jest siebie rozeznać w tem wzruszeniu, bo czasem chciałoby się chłopca pogłaskać po głowie i choćby coś czułego powiedzieć. Dobrze, że ręce nie są tak skore do spełnienia zachcianek i że nie nawykło się do słów bylejakich.

Edzio był jednak śmielszy i mówił:

— Strasznie pana polubiłem!

A wtedy stawało się jasno nawet w chmurny dzień.

Z zasadniczych dyskusyj zaczęto już powoli schodzić do spraw codziennych. Edzio chciał się wziąć do jakiejś pracy i przedewszystkiem zarabiać. Gdy się ma dwadzieścia sześć lat, trzeba znaleźć skrawek miejsca dla swoich nóg i stanąć wreszcie gdziekolwiek bądź. Potem toruje się już drogę pięściami, łokciami, ba! zębami, jak nie można inaczej.

Lucjan pochwalał przedsiębiorczość, wspierał radą, obmyślał, jak i od czego należałoby zacząć. Już jakby wykreślał strzelistą karjerę Edzia, obdarzając go aż nadto rozrzutnie zaszczytami i obowiązkami. Edzio miał jednak swoje wątpliwości. Tak, owszem, karjera polityczna byłaby odpowiednia; ale, aby być czemś na zagranicznej placówce, trzeba — pieniędzy. Ciasna biedota rządowej pensyjki przytłumi każdy ambitny zamiar. Wie o tem, przypatrzył się przecież temu zagranicą. Ach, dla takich, jak on, musi wystarczyć krzesło przy biurku!

I to było właśnie tak smutne i trapiące, gdyż Lucjan pragnął dla młodego przyjaciela rozległej przestrzeni, na której mogłyby się rozwinąć jego niewątpliwe zdolności. Edzio nawet trochę wydrwiwał naiwność i nieżyciowość profesora.

— Trzeba sobie jasno zdawać sprawę z możliwości!

Tymczasem ostatnie dnie w szkole były zawalone pracą. Bez wytchnienia gnębiło się chłopców egzaminami, a na sesjach kipiała gorączka. Potem pisało się

sprawozdania twardem, ścisłem słowem. Ledwie można było zjeść obiad w domu, bo już gnał pośpiech na oznaczoną godzinę zpowrotem do szkoły. Głowa była ciężka od zawodowych utrapień i żadna inna sprawa na świecie nie mogła się już pomieścić w mózgu, wypełnionym ważnemi, rozstrzygającemi wypadkami szkolnemi. Więc też przy stole panie odzyskały prawo głosu, i trudno było połapać się w tem, co było ciągiem dalszym jakichś projektów i wzajemnych układów.

Lucjan zżymał się: — Popsują mi chłopca!

A kiedy tak myślał, oczy Ewy, niby dwie latarnie, rozświetlały ciemną głąb trwóg. Stawało się nagle pusto i chłodno, jak wśród kamiennych ścian. Lecz trzeba było czemprędzej powracać do szkolnej rzeczywistości i bacznie wsłuchiwać się w wyjąkane prawdy o Andrzeju Fryczu Modrzewskim, Węgierskim. Prusie. Nie wolno było ani na moment rozluźnić uważnej obowiązkowości i pomylić sumienia w stawianiu ocen. Nerwowy rozruch szumiał u progu roku szkolnego, a drażliwość przemęczonych nerwów wybuchała we wściekłych dyskusjach na posiedzeniach rady pedagogicznej.

Lucjan wracał późnym wieczorem do domu, z którego pogoda wymiatała wszystkich na spacery, czy wycieczki. Często po północy budził go ściszony tupot nóg w przedpokoju i szept, ledwie tłumiący rozbawienie wracających. Wtedy długo nie udawało się zasnąć. Mózg był niby nakłuwany igiełkami, ciało jakby osmagane pokrzywą, i dlatego krew burzyła się gniewem przeciw temu, co się tu działo. Tyle tylko, że pociecha głaskała: Jeszcze parę dni, a skończy się szkolna harówka i dzień będzie już rozciągnięty przez wszystkie godziny, niczem wielki żagiel, rozpięty na żerdziach, opłókany wolnym porywem wiatru.

Poprzez wszystkie sprawy szkolne przesiewała się jednak pamięć o Edziu. Myślało się nawet potrochu, że trzeba będzie zająć się chłopcem i być mu naprawdę męską pomocą wśród tego niewieściego szczebiotu. Właśnie wyłuskał się z przepadłych już wspomnień kolega, który dziś zajmował jakąś czołową pozycję w rządzie. Można będzie pochodzić, rozpytać się i poprzeć gorącem słowem. Na chwilę więc czyniło się wśród zamętu jasno od dobrych chęci.

— Nie, napewno, chłopak nie przepadnie w życiu!

D. C. N.

Z. REUTT-WITKOWSKA

CZUJNY STRÓŻ

(Epizod z „Dużego Toma").

W Trościańcu piękny był park i piękny sad. Owocu trzeba pilnować: z dziada pradziada już taki obyczaj, czy są złodzieje, czy niema—sadu trzeba pilnować, więc musi być stróż dzienny i stróż nocny.

W Trościańcu był więc stróż nocny. Zwał się Jarema; był stary, nosił włosy długawe z grzywką, równo przyciętą, i bródkę. Pykał fajeczkę z wiśniowego drzewa i pilnował wiśniowych, śliwkowych i pozostałych drzew sadu, czyli grusz, jabłoni, a także włoskiego orzecha, bo jeden był tylko orzech, zato potężny.

Stał pod orzechem stół ogrodowy i ławki dokoła stołu. Rwano nieraz wonne liście orzecha, by opędzać się niemi od komarów, śpiewających cieniutko, a kąsających zawzięcie,—mówią, że z afektu, bo lubią zwłaszcza krew słodką,—twierdził Jarema,—zaś krew słodką mają dzieci. Któżby zaś nie lubił dzieci!?

Kto także lubił dzieci, to pudel Jaremy, biały, piękny pudel; tylko nie kąsał ich z afektu. Zato lizał gorącym, serdecznym językiem, podawał im łapę prawą, lewą — z nadmiaru sentymentu obie naprzemian, bo dobrze wiedział, co lewa, co prawa! i hyc na szyję, i chlast po buzi ozorem!

— Fe, fe! co waść robisz, Enjotku!—wołały dziewczynki, ocierając buzie batystowemi chusteczkami. Zwał się pudel Enjotkiem na znak, że jest pudlem Jaremy, bo ten się pisał Nazarczuk Jarema, więc znaczył się w rejestrach domowych N. J.

Enjot zwał się także z francuska Anżocikiem, co znów panna Klara, guwernantka, wywodziła od słowa „ange", a to znaczy anioł, bo był Anżocik biały i łagodny—słodki,—powiadała panna Klara—jak pies w raju, którego święty Piotr wodzi z sobą, i który aportuje mu klucze niebieskie.

Anżocik aportował patyki po równej i nierównej drodze, także płaskie kamienie z wody, które tatuś umiał tak ciskać, że skakały trzy razy po powierzchni stawu, zanim poszły na dno. Anżocik jednak był psem Jaremy, który miał klucze od ziemskiego sadu i zwał pudla poprostu Żuk. A to także było bardzo na miejscu, bo biały żuk równie rzadki niewątpliwie, jak

biały kruk. Żuk warował, Żuk nie brał cukru z niczyjej ręki, tylko z ręki Jaremy i z ręki Anuli, bo ta uchodziła i psa, i jego pana.

Żuk zresztą łapą wybijał godzinę, jaką wskazywała mniejsza wskazówka zegarka, odróżniał też cztery duże litery alfabetu: J. N. oraz A. T., czyli monogram Jaremy i cyfry Anuli. Dość, że mógłby się pokazywać w cyrku za pieniądze. Ale Jarema nie pokazywał go za pieniądze, tylko na znak, że mógł by zostać artystą cyrkowym, postrzygał go pięknie „na błazna". To zaś robił tak: zostawiał psu dużą kępę włosów między uszami, na zadzie prawą i lewą kępkę, na końcu ogona czwartą i na łapach kamaszki kudłate. Wyglądał psisko, jak klown prawdziwie, niesamowicie jakoś i cudacznie.

Jarema był za młodu służącym w mieście, podobno, i widział cyrk nieraz, a mówią niektórzy, iż sam był czas pewien linoskokiem, czego jednak Jarema nie twierdził. Znał się zato wybornie na pszczołach, więc poza czynnościami stróża nocnego w sadzie, pełnił też obowiązki pasiecznika, a pełnił je znacznie lepiej, niż obowiązki stróża, bo jak owocu pilnowali obaj, Żuk z Jaremą, to stało się aż nadto wiadomo. Jednak nie martwił się o to nikt.

Zobaczym, kto się ucieszył.

W parku było jedno miejsce bardzo pyszne: taras nieduży z wodotryskiem i zbiornikiem, gdzie pływały latem złote rybki; wedle tarasu szły schody z obu alei bocznych—prawej i lewej—na wspólne schody, ku niższej części parku. Otóż te schody boczne podmurowane były, rozumie się, od niższej strony parku i stały tam ławy kamienne, na dole, w kątach między podmurówką alei, a balustradą szerokich schodów tarasowych.

Jeśli kto w piękną noc lipcową znalazł się w tej części ogrodu, przechylał się chętnie przez balustradę podmurówki—i widzieć mógł wówczas na jednej z ław zacisznych, w dole, postać, dobrze otuloną w ciepłą burkę i spoczywającą na derze końskiej, pilnie podesłanej. Był to Jarema. U nóg zaś pańskich, w biały kłębek zwinięty, z nosem wedle nasady ogona i tylnemi łapami wedle pyska, spał pies wierny, biały Żuk.

Nikt nie zakłócał ich wywczasów. Księżyc srebrzył wodę zbiornika i zmieniał fontannę w perłowego ducha snu, który śpiewał lube kołysanki Jaremie i Żukowi, szmerem bezprzestannym spadających do zbiornika wstęg wody żywej. Tatuś i mamusia, którzy to wszystko widzieli dobrych kilka razy, śmieli się, ceniąc zasługi niezastąpionego pasiecznika; bo trudno byłoby nawet przypuścić, aby do sadu przedostali się złodzieje, gdy można było iść tam nietylko przez park, ale wpierw, ze wszech stron, dobrym kawałem zabudowań, gdzie czuwały bardzo złe brysie, na noc tylko spuszczane z łańcucha, i stróże fabryczni, folwarczni.

Wydarzyło się, że gospodyni trościanieckа, pani Miłkowska, obłaskawiła wiewiórkę, która przychodziła po orzechy laskowe na ganek, widocznie woląc je od włoskich. Pani Miłkowska hodowała też jeża. Jeż pił mleko z miseczki i chodził tup-tup! tup-tup! po kuchni, po czeladnej, a w pokoiku pani Miłkowskiej rozbijał się, jak u siebie w domu.

Zwierzę łaskawe i wierne, które jednak Pan Bóg przyodział niełaskawą szatą kolców, bardzo jeżowi pożyteczną na wypadek zaczepki od psów, czy innych wrogów. Jeż, jak wiadomo, zwija się wtedy w kłębek i robi się cały jedną potężnie kłującą kulą.

Dziewczynki były w zgodzie z jeżem, zwłaszcza Anula, oczywiście. Jeż przyjmował z jej rąk jabłka, w których sobie bardzo podobał. Jeż chodził z nią na spacer po parku na błękitnej wstążeczce: tup-tup! tup-tup! Nie wiedzieć zresztą, czy mu się taka przechadzka podobała, bo nie rozmawiał o tem z nikim.

Jabłka dla jeża można było zbierać na zapas w parku—tam, gdzie przez murek sadu sypały się otrzęski z paru jabłoni granicznych prosto na trawnik. Żuk zato nie gustował w jabłkach ziemskich, ani rajskich: można mu było śmiało zlecić, by napełnił otrzęskami koszyk, co wykonywał pilnie i wnet aportował kosz za pałączek.

Tego lata zburzono część starego muru między parkiem, a sadem, stawiając na to miejsce sztachety dla przyjemniejszego widoku. Sztachety te malował pięknie cieśla fabryczny i malarz w jednej osobie, pan Huptysiowski, chemik domorosły, który wynalazł sobie glazury szybkoschnące w modnych kolorach; prawda, że lepkie, jak smoła, i wkrótce obracające się w kamień. Daremnie, jak dotąd, suszył sobie głowę nad tem, jakby zrobić, żeby pokost sechł szybko na przedmiocie metalowym, a nie zsychał się w blaszance? Pan Huptysiowski nie tracił nadziei, że wymyśli co wedle tych glazur, nim na szczęt wyschnie mu głowa. Gruntował na próbę sztachety pokostem czerwonym, przeciągał zielonym. Pendzle mył często w terpentynie i ręce. Dziewczynki zazdrościły mu farb, ale bały się prosić o nie, by nie pobrudzić fartuszków.

Pewnego dnia jednak nie mógł się pan Huptysiowski doliczyć dwu pendzli, oraz wydało mu się, że pokostu czerwonego i zielonego cośkolwiek ubyło w blaszankach.

— Uch, ty Boże mój! szukasz-że aspan daremno! co Kusy ogonem nakrył, nie znajdziesz tego przed nowiem, nie! — pociesza go dziwnie Jarema. Fajkę pyka i żegna się na imię Kusego, bo tak zwać lubił djabła w osobie własnej.

WACŁAW HUSARSKI

SZTUKA ROKOKA

Trudno wyobrazić sobie doskonalszą jedność i harmonję form życiowych, niż ta, którą sfatygowanemu już nieco światu przynosi rozkoszny wiek XVIII.

Czarujący styl, dla którego Akademja Francuska przyjęła w r. 1742 urzędową, aż nazbyt może szczebiotliwą nazwę rokoka, — jest czemś więcej, niż stylem artystycznym. Przenika on wszystkie dziedziny życia kulturalnego, nadając całej epoce piętno jednolitości, jakiej nie osiągnęła społeczność europejska od czasów średniowiecza. Vauvenargues twierdzi, że nawet moralność tej epoki oparta jest na tych samych zasadach, co sztuka. Z równą słusznością powiedziećby to samo można o ówczesnem życiu społecznem, lub politycznem.

Bądźmy zresztą ściśli: jednolitość ta, jeżeli chodzi o sztukę, ma, pomimo wszystko, pewne luki.

Architektura rokokowa mianowicie, z powodów, które staną się zrozumiałe w toku niniejszego opowiadania, nie wszędzie się przyjmuje, napotykając gdzieniegdzie na opór. Anglja, oddzielona od kontynentu odmętem mórz i otchłanią pychy narodowej, usiłuje odeprzeć zalew nowych form i w innych również dziedzinach. Opór ten jednak, nie mogący nigdzie przeciwstawić rokoku własnej, oryginalnej i twórczej formy, zaliczony być może śmiało do owych wyjątków, które służą do potwierdzenia reguły. Poza owemi wyjątkami styl ten przenika istotnie wszystko i wszystkich: od peruki na głowie do obcasa przy pantofelku; od hełmu na wieży kościelnej do stołeczka pod stopy kurtyzany; od ukłonu królewskiego i dworskiego reweransu — do dygu pokojówki. Dama dworu Ludwika XV, wdzięcznie falująca w swej sukni, rozpiętej na trzcinowem rusztowaniu, wystylizowana jest według tej samej kapryśnej linji dekoracyjnej, co coiffeusa, lub sekretera, przed którą zasiada.

Rzeźba z drzewa z epoki rokoka

Kanapa z epoki rokoka

Jakkolwiek zaś styl ten ma pochodzenie wyraźnie arystokratyczne, jednakże błędem byłoby mniemać, że oddziaływanie jego ogranicza się do wyższych jedynie sfer towarzystwa. Istnieje rokoko mieszczańskie, niemniej charakterystyczne, chociaż nierównie prostsze od dworskiego. Spotykamy się ze śladami tego stylu w zakątkach, w których trudnoby go się, zaprawdę, spodziewać i do których przedostał się w sposób zupełnie tajemniczy. Dostrzegamy tedy jego piętno w ornamencie chłopskiego bawarskiego zydla, w polskim ludowym bohomazie, w podhalańskich malowankach na szkle, w kapliczkach i krzyżach litewskich, w których pan Basanovicius radby dopatrzyć się tradycji, sięgającej czasów pra-aryjskich.

A ta jedność kształtowania, ogarniająca cały niemal świat cywilizowany, wszystkie warstwy społeczne i wszystkie dziedziny życia, koligacąca się chwilami z duchowością bliższego i dalszego Wschodu, czerpiąca motywy z chińskiej ceramiki i z indyjskiego snycerstwa,—tem większego godna jest podziwu, że ów styl, wraz z całem życiem społecznem i kulturalnem, balansuje na owych mocno już zawrotnych szczytach wyrafinowania, gdzie zachowanie równowagi wkraczać zaczyna w dziedzinę ekwilibrystyki. Społeczeństwo, tańczące na skraju przepaści,

żyje w otoczeniu sztuki, która znajduje się na ostatniej już granicy możliwości formalnych i której cechą zasadniczą, obok najdalej sięgającej komplikacji, jest wstęp do statyki, a w okazach, bardziej rozwiniętych — wyraźna dążność do kinetyki.

Sam już choćby ów komunał dekoracyjny epoki, nadający jej nazwę stylistyczną, sam już ów ornament „rocaille", asymetryczny, giętki i falujący, zamknięty w sobie, jak organiczna całość bez początku i końca, pozbawiony ostrego kantu, na którym wzrok mógłby się choć na chwilę zatrzymać — sam już ten chaos siatek, muszel, palm i pierzastych esownic,— jest w swej komplikacji i w swej nieuchwytności formalnej widomym znakiem wieczystego ruchu. Jest to ciągłe i płynne falowanie linji i płaszczyzny, — ornament ten, bowiem, kokietuje nieustannem, a figlarnem wychylaniem się z jednolitego planu. Za jego podstawowy motyw uchodzi zazwyczaj muszla, powracająca w tysiącznych i najbardziej fantazyjnych odmianach. W gruncie rzeczy muszla ta, podobnie, jak w naturze, jest tu tylko stylizacją wieczyście płynnej, wiecznie ruchomej fali morskiej. Owej kobieco-kapryśnej, kobieco-zmiennej fali, z której narodziło się, płynące na wygiętej konsze, wszechwładne bóstwo epoki — Venus Anadiomène.

Pierwiastek ruchu, stanowiący zasadę tej sztuki, występuje wyraźniej jeszcze tam, gdzie kształtowanie odbywa się nie na płaszczyźnie, ale w przestrzeni. Te meble-bibeloty, zrodzone w wyobraźni Oppenorta i Meissoniera, a naśladowane potem mniej, lub bardziej zręcznie po najodleglejszych zakątkach świata, coiffeusy i etażerki, komódki i sekretery — zdają się w swej ruchliwości przezwyciężać prawo ciążenia i unosić w powietrzu, tak zręcznie wszelkie zasady statyki ukryte są w nich zapomocą kapryśnego biegu wygiętych brył i powierzchni, które bujają, jak na końcach paluszków, na ruchliwej, falującej linji wątłych nóżek.

Tam zaś, gdzie nawet miękkie drzewo nie chce poddać się grymaśnej wyobraźni rysownika, zjawia się ku pomocy fornir, osłaniający wstawki i spojenia, laka o motywie wschodnio-azjatyckim, doskonale odpowiadającym asymetrji mebla; ornamentacyjne okucie metalowe, wiążące pomiędzy sobą te disjecta membra i maskujące ostatni ślad konstrukcji.

To, co jest ulubioną fantazją malarzy rokokowych, owe Cyprysy, bujające w błękitnej przestrzeni niebios na poduszkach z różowych obłoków, — zdaje się stawać rzeczywistością w buduarze ziemskiej bogini, śród ruchliwej ułudy szezlongów, berżerek i kozetek, niedotykających prawie ziemi. Rzekłbyś, że pałeczka baletmistrza, nadająca takt ówczesnemu życiu salonowemu, nawet martwe przedmioty wprowadza w tempo menueta. Są to przecież czasy, kiedy włoski skoczek Vestris twierdzi, że jest trzecim wielkim człowiekiem obok Woltera i Fryderyka, a entuzjaści mówią o nim, że „w jednym skoku ujmuje wszystką harmonję świata"!

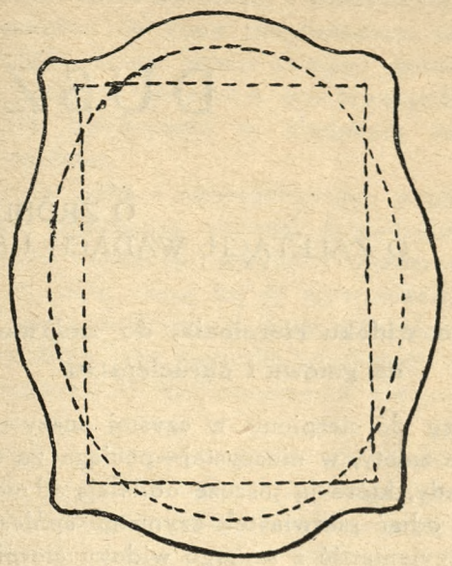

Blat stołu rokokowego — schemat

Nie należy zresztą sądzić, jakoby kapryśność form rokokowych była dziełem przypadku, wytworem rozigranej wyobraźni artystycznej. Kaprys ten jest udany. Kryje się pod nim nieposzlakowanie ścisła idea konstrukcyjna, tylko że idea ta polega właśnie na szalonem komplikowaniu form, przeładowanych w dodatku niemniej skomplikowaną ornamentacją. Olbrzymia fantazja plastyczna i przestrzenna tych czasów ma istotnie nieprzepartą dążność do tworzenia najbardziej złożonych zjawisk optycznych, związanych jednak w organicznie jednolitą całość; olbrzymia wiedza lubuje się w rozwiązywaniu najzawilszych zagadnień konstrukcyjnych i technicznych, a właściwy epoce dowcip ubiera te zagadki w formę możliwie trudną do odgadnięcia.

Forma rokokowa jest z reguły zrostem organicznym dwóch, lub kilku różnych kształtów, przypominającym niejako zrost różnych form krystalicznych w świecie mineralnym. Jako przykład, weźmy chociażby blat najbardziej typowego stołu rokokowego. Odnajdziemy w nim z łatwością połączenie formy prostokątnej z owalną, przyczem punkty przecięcia zatarte zostały zapomocą płynnych wyokrągleń. Charakterystycznem jest, że pomysł ten przeniesiony został do meblarstwa z włoskiej architektury kościelnej, gdzie połączenie planu okrągłego z prostokątnym, czyli rzutu centralnego z podłużnym, należało do najbardziej rozpowszechnionych. *(d. c. n.)*

GINA LOMBROSO

8)

DUSZA KOBIETY

CZĘŚĆ DRUGA

O ŹRÓDLE WZRUSZEŃ POZA NAMI. O ZALETACH, WADACH I SPRZECZNOŚCIACH, JAKIE STĄD POWSTAJĄ.

Pociąg do widoku cierpienia, do zadawania bólu, do gniewu i okrucieństwa

Pociąg do cierpienia w czystej duszy rodzi najcenniejsze zalety, w nieczystej—pociąga za sobą najgorsze wady, które ją jeszcze oddalają od mężczyzny.

Gdy odjąć pierwiastek czynnego spółczucia, pozostaje przyjemność z samego widoku cierpienia, namiętność do bolesnych scen, która gna tłumnie kobiety do sal sądowych, na miejsce traceń, do „grands guignols'ów", cyrków, wszędzie, gdzie mogą paść oczy boleścią i ohydą.

Skoro to upodobanie w widoku cierpienia łączy się z poczuciem zdolności grania na czyichś uczuciach, — a łatwiej to czynić w kierunku bólu, niż radości—i z chęcią popisania się, spotykamy tak częste u dziewcząt „dręczycielstwo", które triumfuje, gdy zakochanego wpędzi w suchoty, czy pchnie do samobójstwa.

Zamiłowanie do dręczycielstwa, jeżeli czuje pod sobą grunt bezpieczny, staje się złośliwością i pomiataniem. Idzie o wykazanie własnej wyższości, o uruchomienie najwymyślniejszych środków, tak, aby nikt postronny nie zdawał sobie sprawy, albo o upokarzanie ofiary, która, cierpiąc, nie ma sposobu się skarżyć. Rys ten znajdujemy u kobiet wszystkich sfer. Bogaczka naraża ubogą kobietę na nieludzkie ofiary, zmuszając ją do niepotrzebnych wydatków, albo przygniata ją swoim przepychem, stanowiskiem światowem i spółczuciem; kobieta piękna stara się jak najbardziej podkreślić szpetotę brzydkiej. Proust znakomicie podpatrzył kucharkę, która każe państwu przez miesiąc jeść bez przerwy szparagi, żeby dokuczyć swojej pomocnicy, dla której szparagi są trucizną. Tak samo chłopaki w Germinalu podczas buntu rzucają się na żony właścicieli kopalni, zdzierają z nich suknie i zaczynają się naigrawać.

Jeżeli do złośliwości i pogardy przyłączy się nienawiść osobista, klasowa lub partyjna, widzimy wyrafinowane okrucieństwo prawdziwych zbrodniarek. Znamy naczelniczki buntów, które wprowadzają najwymyślniejsze tortury, aby męczyć przeciwników, lub móc patrzeć na ich katusze; znamy przewódczynie rozbójników, okrutniejsze od wszystkich towarzyszy, albo doradczynie rządów czerwonych czy białych, które w ostatnich czasach w Europie przeszły dzikością męskich oprawców.

Okrucieństwo i złośliwość nietylko dają satysfakcję z widoku cierpienia, ale z uruchomienia mechanizmu wzruszeniowego i wywołania uczuć w innych. Zła kobieta tak samo napawa się powodzeniem złego czynu, jak dobra się cieszy, gdy dokonała czynu spółczucia. W obu wypadkach jest samopoczucie siły i zręczności, a triumfować w złem jest łatwiej, niż w dobrem. Zważmy, że z drugiej strony kobieta-ofiara da się raczej posiekać, niż okaże nieprzyjaciółce, że cierpi z jej winy. Uczucia złe i okrutne prawie nigdy nie idą luzem, ale przeplatają się z tkliwością, miękkością, przywiązaniem. Widzimy to i u zbrodniarek, u których takie biegunowości dochodzą do najwyższego napięcia, i u przeciętnych kobiet, które mogą być jednocześnie miłosierne i okrutne, wielkoduszne i dokuczliwe...

II

ZAWIŚĆ, NIENAWIŚĆ, GŁÓD ZEMSTY

Upodobanie w cierpieniu, zlewając się z innemi uczuciami ujemnemi, rodzi zawiść. Kobieta cierpi, gdy drudzy kosztują tego, co jest jej zakazane, lub wolni są od trapiących ją przykrości. Nienawiść i żądza zemsty podszeptują jej czyny złe w stosunku do osób, które, świadomie czy nieświadomie, są przyczyną jej cierpienia, i każą się cieszyć ich męką.

Złe te uczucia mieszano często—zwłaszcza czyni to obecna literatura—z dumą i poczuciem sprawiedliwości. Ze sprawiedliwością mają wspólny punkt wyjścia w uczuciu altruistycznem, zainteresowanem bólem lub zadowoleniem cudzem; z dumą łączy je fakt, że, aby zadośćuczynić temu uczuciu, poddajemy się dobrowolnie prawdziwemu cierpieniu.

Jednakowoż uczucie sprawiedliwości każe nam cierpieć wobec krzywd innych, ze względu na zło, jakie stąd może wyniknąć dla społeczeństwa, niesprawiedliwość bowiem pociąga za sobą zniechęcenie i zamęt. To też cieszymy się szczęściem innych, choćby było z naszą szkodą, żądni triumfu równości na świecie. Uczucie sprawiedliwości wszakże nie nakazuje nam nigdy zadawać cierpień, lub cieszyć się cierpieniem szczęśliwych. Duma zmusza nas do znoszenia z poddaniem zła, byle nie sprzeniewierzyć się wyznawanym zasadom; gdy tymczasem za podszeptem nienawiści, zazdrości, zemsty, cierpimy, bo ktoś inny jest szczęśliwy, bez względu na to, czy różnica jego losu, a naszego, jest zasłużona, czy nie. Zazdrość spra-

wia, że dążymy do celu, choćby miał pociągnąć za sobą powszechną krzywdę, zależy nam bowiem, aby na świecie zapanowała równość cierpienia.

Poczucie sprawiedliwości wymaga wysokiej inteligencji, aby odróżnić prawdę od fałszu, dobro od zła, interes ogólny od osobistego, i wymaga szerokiego altruizmu, któryby nam pozwolił abstrahować od siebie na rzecz dobra ogólnego. Duma idzie w parze z niezłomnością zasad, wiary, pojęcia obowiązków i praw każdej jednostki, pogardy dla bólu własnego, ale zarazem z obojętnością na cierpienia cudze. Zawiść, nienawiść i chęć zemsty płyną z ciasnoty umysłowej, niedostrzegania prawdziwego stanu rzeczy, ukrytego pod pozorami; z podejrzliwości, wpatrzonej zawsze więcej w cudze sprawy, niż we własne, i z przekory, która woli zaniedbać własny interes, byle zaszkodzić interesowi drugiego, nawet poświęcić własne zadowolenie, byle nie dopuścić do czyjegoś szczęścia.

Cechy te spotykamy zarówno u mężczyzn, jak u kobiet, tylko, że męski egoizm i rozum nie pozwala im się tak rozrosnąć. Mężczyzna zazdrości koledze posady, odznaczenia; nienawidzi tego, kto się wdziera w jego prawa, ale z chwilą, gdy sam czuje się szczęśliwy, nie rywalizuje z nikim; uważa zresztą, o ile nie jest osobiście dotknięty, że inni zasługują może na powodzenie, jakie ich spotyka. Kobieta, przeciwnie: zazdrosna jest o wszystkich i o wszystko, uzasadnienie i nieuzasadnienie, zna czy nie zna (nierzadko matki usposabiają synów nieżyczliwie względem przyszłej synowej, o której jeszcze niema mowy); zazdrosna jest o męża, ojca, syna; jest mściwa i wściekła za nich, jak za samą siebie. Pani Caillaux zabiła nieprzyjaciela męża, do którego osobiście nie żywiła żadnej urazy. Codzień słyszy się o matkach, które z zazdrości rozbijają małżeństwa przyjaciółek swoich córek.

Mężczyzna nienawidzący nie jest tak spragniony cudzego cierpienia i jego widoku. Nie znając przytem mechanizmu wzruszeniowego, ucieka się do brutalności i do siły, których skutki, jako jawne i budzące spółczucie, już tem samem mniej są bolesne dla ofiary.

* * *

Omawiane tu wady nie są przyczyną nieporozumień między kobietą a mężczyzną, który je widzi, rozumie i gardzi niemi. To też kobieta maskuje je pod płaszczykiem sprawiedliwości, czy innych uczuć, niby-to idealnych. Należałoby je zniweczyć, przynajmniej stłumić w jej duszy, ale jakim sposobem? Przedewszystkiem przez publiczne przyznanie, że to są wady, nie zalety; wykazaniem różnicy między niemi a uczuciem sprawiedliwości i stoicyzmem; odarciem ich z pozorów idealizmu; przyuczaniem dziewczynek, aby widziały dobre strony swojego położenia, a złe strony położenia innych,—a przedewszystkiem, baczeniem, aby upodobanie w cierpieniu nie przeszło w okrucieństwo.

Jest to jeden z najważniejszych punktów w wychowaniu. Wystarcza odwieść dziewczynkę od przyglądania się okrutnym scenom i wykorzenić zamiłowanie do nich, dając jej do zrozumienia, że to jest chorobliwe; upodobanie zniknie z brakiem podniety, a zatamowanie tego kierunku wyobraźni już tem samem stanie się wędzidłem przeciw nienawiści i okrucieństwu.

Należy mieć na uwadze przy wychowaniu, że okrucieństwo płynie w kobiecie z tego samego źródła, co litość, i że tak samo niepostrzeżenie przejść można od spółczucia do srogości, jak i odwrotnie.

Tarnowska opowiada o wzruszających przykładach litości pośród zbrodniarek w Rosji. Ojciec mój daje przykłady niezwykłej delikatności uczuć u dzieciobójczyń i mężobójczyń; ojciec Noble zanotował podobne wypadki co do dzieciobójczyń i morderczyń w więzieniu „Filles Perdues" w Paryżu. Te wypadki sporadyczne mogą nabrać charakteru powszechności, jeżeli postaramy się upodobanie do dręczycielstwa przemienić w miłość cierpienia. Odległość jest tu daleko mniejsza, niż dla mężczyzny. Zważmy, że kobieta pragnie dawać i doznawać przyjemności: gdy naciśniemy ten klawisz, możemy z nią robić cuda.

Dalej, ponieważ często okrucieństwo, zazdrość, nienawiść są odpowiedzią na skrępowanie, z którego kobieta nie potrafiła się wydobyć, może nie byłoby bezcelowe nauczyć ją inaczej dochodzić swoich praw, aniżeli drogą szkodzenia innym. Wogóle jednostki silne i gwałtowne rzadziej wykazują te wady, niż uległe. Ale nie wszystkim dane jest być mocnemi. Dla tych, które niezdolne są bronić się czynem, nie szkodziłoby, aby to czyniły słowami; zamiast więc tamować, pozwólmy im dać upust samochwalstwu: rażąca to przywara, ale mniej społecznie szkodliwa, niż zazdrość i mściwość. Jeżeli chcą, niech się chełpią dziećmi, nauczycielkami, służbą,—będzie to rodzaj metody ochronnej i nie jedyny przykład zasady, że większe zło leczy się zapomocą mniejszego i mniej niebezpiecznego. Wszystkie lekarstwa przecie—to trucizny, któremi zwalczamy jeszcze gwałtowniejsze trucizny; a zawiść, nienawiść i żądza zemsty—to zbyt ciężkie choroby indywidualne i społeczne, abyśmy się cofali przed użyciem przeciwko nim środków choćby nawet bohaterskich. *(c. d. n.)*

W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ SKONU DEOTYMY

Piękna myśl młodzieży akademickiej, zgrupowanej w zrzeszeniu „Polska Młoda" — uczczenia pamięci Deotymy, z racji przypadającej 20-ej rocznicy jej skonu,—znalazła ucieleśnienie w obchodzie, który odbył się w dniu imienin poetki. Rozpoczęto go nabożeństwem w kościele Św. Krzyża, wieczorem zaś zorganizowano w sali Rady Miejskiej uroczystą akademję.

Na estradzie, na tle malowniczej grupy zieleni i sztandarów korporacyj akademickich, widniało marmurowe popiersie Deotymy, czystością i szlachetnością linij przypominające rzeźbę grecką, a z ustawionego poniżej podjum przemawiali przedstawiciele młodzieży, która, o dziwo! dziś, w dobie powojennego materjalizmu w życiu, a dziwacznego „formizmu" w poezji, powzięła myśl oddania hołdu poetce, tak odmienne głoszącej ideały!

A jednak jest coś dziwnego w naszym stosunku do Deotymy i jej dzieł. Młodzi znają ją mało, nie wielu może lubi specjalnie jej poezje; ale jest w jej imieniu coś, jak urok wspomnień dzieciństwa, jest odblask tych czasów i tej zasługi, kiedy salon Deotymy skupiał elitę umysłową Warszawy, był jedynem forum poezji i wolnego polskiego słowa.

To też stawiono się licznie dla uczczenia jej pamięci. Sala wypełniona była publicznością. Przybyła p. prezydentowa Mościcka, przedstawiciele wyższego duchowieństwa, ministrowie i posłowie państw zagranicznych, zaproszeni przez komitet obchodu, na którego czele stanęła p. ministrowa Meysztowiczowa.

W pierwszej części akademji zabierali głos członkowie stowarzyszenia „Polska Młoda". P. Zygmunt Stanowski skreślił barwny, pełen pietyzmu dla poetki życiorys jej, charakteryzując wpływy środowiska na dzieciństwo i młodość Deotymy; tułaczkę jej na Syberji, dokąd towarzyszyła ukochanemu ojcu, i długie lata, przeżyte w Warszawie, gdzie salon jej był wybitnym ośrodkiem kultury polskiej, hamowanej i więzionej w swym rozwoju w czasach niewoli.

Dalej przemawiał p. E. Kecel, który dał charakterystykę poematu „Sobieski pod Wiedniem", a p. Kowalski—ocenę powieści „Branki w jasyrze" i „Panienka z okienka".

P. Bogacz opowiedział o „Królestwie ideału", którego „Królowa Jadwiga" Deotymy była władczynią. Może sztuczne i napuszone nieco wydaje się nam dziś to „królestwo", wzorowane na przykładach rzeczpospolitej babińskiej. Ale nie trzeba zapominać, że brali wówczas udział w tej trawestacji poetyckiej najpierwsi w literaturze, z Odyńcem i Sienkiewiczem na czele, i tęskniąc do wielkich, a tak, zdawało się, nieziszczalnych ideałów wolności i piękna, obierali urojoną królowę, której berło, w wachlarzu ukryte, aż wielkorządcę Berga zaniepokoiło!

Przemiłą częścią wieczoru było przemówienie p. A. Mansuy, dyrektora liceum francuskiego w Warszawie. Jako bardzo młody człowiek, poznał p. Mansuy Deotymę, już wówczas staruszkę. Podziwiał jej młodociany zapał, znajomość nowych prądów w literaturze francuskiej. A był to czas realizmu, na którego tle powstawał dopiero neoromantyzm Rostanda. I wtedy, gdy p. Mansuy powołał się na to, że młodzież francuska nietylko czyta Zolę, lecz umie marzyć z Bergerac'iem, entuzjazmować się bohaterstwem Flambeau z Orlęcia i kochać idealnie, jak Joffroy Rudel księżniczkę daleką, — Deotyma zaczęła mówić o wielkich, wiecznie żywych ideałach romantyków polskich i o tem, że wierzy niezłomnie, iż spełnią się proroctwa Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, że odzyska wolność „wzięta po raz trzeci Warszawa".

— Gdy wyszedłem z mieszkania Deotymy,—mówił p. Mansuy,—nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że wielka poetka jest jednak oderwana od świata i że jej mistyczne proroctwa są tylko marzeniami osoby, żyjącej przeszłością... nie wierzyłem w ich spełnienie.

A oto dziś, „wzięta po raz trzeci Warszawa" jest stolicą wolnego państwa i czcimy w niej pamięć Tej, która nie przestała ani na chwilę wierzyć realnie i niezłomnie w przepowiednie wieszczów i w przyjście królestwa wolności!

Prawdziwą burzą oklasków dziękowano p. Mansuy za przepiękne przemówienie.

W zakończeniu zabrał głos jeden ze starszych organizatorów uroczystości, poeta, przyjaciel ostatnich lat Deotymy p. Witold Łaszczyński, w barwnym, przepełnionym serdecznemi wspomnieniami opisie wieczoru czwartkowego.

Podnosiła wrażenie uroczystości wytworna część koncertowa, zwłaszcza bardzo piękny chór Cecyljański, śpiewający à capella.

N. J.

PLACÓWKA ŻYWEGO SŁOWA
W GMACHU ZWIĄZKU ZAWODOWEGO KOLEJARZY

Cyprjana Kamila Norwida — „Wanda". Rzecz w sześciu obrazach. Prolog *Juljusza Słowackiego*. Kierownictwo artystyczne: *J. Górska, J. Golus i M. Szpakiewicz.*

W ślicznej sali teatralnej gmachu Związku Zawodowego Kolejarzy odbyło się dnia 5-go b. m. inauguracyjne przedstawienie teatru Placówki Żywego Słowa. Przemówienie senatora Kopcińskiego wyjaśniło, czem pragnie być ta scena, wzniesiona funduszem, energją i entuzjazmem Związku Zawodowego Kolejarzy. Ma tam rozbrzmiewać „żywe słowo" arcydzieł polskiej dramaturgji, śpiew i muzyka; ma być utrzymany wysoki artystyczny poziom, aby właśnie inteligentowi i robotnikowi dać to, co najlepsze, najpiękniejsze i najwznioślejsze.

Już sama architektonika sali teatralnej, jej styl prosty i wytrzymany do ostatniego szczegółu, ornamentyka drzewna swojska, a nowoczesna—świadczą o wykwincie artystycznym. Nowy nabytek — piękny fryz nad sceną, rzeźbiony w drzewie przez artystę Szczepkowskiego—jest niepospolitą ozdobą tej sali, która nie ma równej sobie w Warszawie.

Zresztą scena Związku Zawodowego Kolejarzy posiada już duże zasługi. W ubiegłym sezonie wystawiono na tej scenie sztukę F. Kruszewskiej: „Sen", jedno z najciekawszych dzieł scenicznych współczesnej twórczości dramatycznej. Ponadto przez kilka miesięcy gościł tam teatr regjonalny z kapitalnem „Weselem na Kurpiach". Publiczność warszawska zna więc już ten gmach i wie, że nie wydarzy się w nim nic takiego, coby było artystycznym dysonansem.

Na inaugurację teatru Placówki Żywego Słowa wybrano „Wandę" C. K. Norwida, dramat, w którym słowo dominuje nad akcją. Stąd też trudność zamknięcia w ramach sceny tego, co się poza ramy wyrywa myślą i nastrojem. A stąd też i wielorakie możliwości inscenizacyjne Norwidowego dramatu.

Kierownicy artystyczni Placówki Żywego Słowa—pp. Szpakiewicz, Górska i Golus—nadali „Wandzie" charakter oratoryjny, więc raczej statyczny. Chodziło o zharmonizowanie malarskie i dźwiękowe, o żywy obraz i nastrojowość chórów, przyczem słowo Norwida stało się czemś w rodzaju libretta.

Jednakże takiem ujęciem nie osiągnięto całkowitego sukcesu artystycznego, nużąc widza monotonją w układzie scen. Mimo to przyznać trzeba, że zamiar reżysera był logicznie przeprowadzony i starannie opracowany. Ale taka sama dyscyplina reżyserska niejednokrotnie dowolnie naginała ku sobie zamysł artystyczny poety, i to właśnie było błędem i grzechem spektaklu. „Wanda" Norwida, żywa i ludzka, mimo filozoficznego i mistycznego koturnu, w reżyserji p. Szpakiewicza stała się tylko obrazem i niezawsze udatną recytacją.

Wykazując tu błędy, chcemy jedynie zaznaczyć, że poważnv wysiłek teatru Placówki Żywego Słowa zasługuje na poważną ocenę krytyczną. Niewątpliwie, bowiem, należy się jej uznanie za to, że sięgnęła po ten utwór i dała świadectwo swoim wysokim ambicjom artystycznym. Zapowiedź „Ślubów" Artura Górskiego dowodzi, że ten mały teatr postanowił wytrwać w nieprzeciętności. Szczerze życzymy mu powodzenia.

H. N.

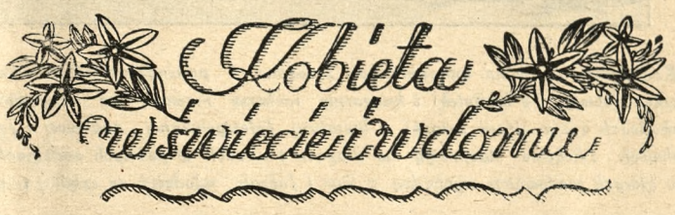

JAK PRACUJE TOW. OCHRONY KOBIET?

Bawi w Warszawie główna przewodnicząca międzynarodowego Tow. Ochrony Kobiet, baronowa de Montenach. Z racji tej polskie Tow. Ochrony Kobiet zorganizowało w ubiegłą niedzielę, w hotelu Europejskim odczyt p. de Montenach.

Po otwarciu zebrania przez przewodniczącą polskiego Tow. Ochrony Kobiet p. Przeździecką, zabrała głos prelegentka, która skreśliła historję powstania Towarzystwa. Zostało ono założone w r. 1896 we Fryburgu, w celu opieki nad młodemi dziewczętami, zmuszonemi do szukania zarobku w wielkich miastach, zdala od domu rodzicielskiego.

Działalność opiekuńcza Towarzystwa dzieli się na trzy główne fazy: przed wyjazdem, w czasie podróży i po przybyciu na miejsce. Najważniejszą jest praca t. zw. korespondentek, które Towarzystwo posiada w każdej miejscowości. Korespondentki starają się utrzymać najściślejszy kontakt z rodzinami młodych dziewcząt. Przedewszystkiem dopomagają do wyszukania pracy w miejscu zamieszkania rodziców lub krewnych; o ile zaś to okazuje się niemożliwem, wówczas zwracają się do korespondentek w innych miejscowościach, tak że poszukująca pracy znajduje po przybyciu na miejsce opiekę. O ile zaraz nie znajdzie zajęcia, przebywa w schronisku Towarzystwa, które nadto posiada wszędzie biura pośrednictwa pracy. Ale nawet, gdy kandydatka zajęcie otrzyma, pozostaje stale w ewidencji i pod opieką pań z Ochrony, które, prócz pomocy materjalnej, organizują w schroniskach pracę oświatową i życie towarzyskie, starają się o godziwą i kulturalną rozrywkę dla swych pupilek.

W czasie podróży młode dziewczęta znajdują na każdym dworcu delegatkę Towarzystwa. Cały świat zna dziś panie z Ochrony i barwy ich (białe z żółtem) na opaskach są prawdziwym postrachem handlarzy żywym towarem. Każda młoda kobieta zwrócić się może do delegatki w jakimkolwiek wypadku, a znajdzie zawsze pomoc, opiekę, lub życzliwą radę.

Zakończenie odczytu poświęciła baronowa de Montenach serdecznemu wspomnieniu o ś. p. hr. Gustawie Przeździeckim, założycielu polskiego Tow. Ochrony Kobiet, i działalności naszego Towarzystwa, dla którego wyraziła gorące i serdeczne uznanie. *N. J.*

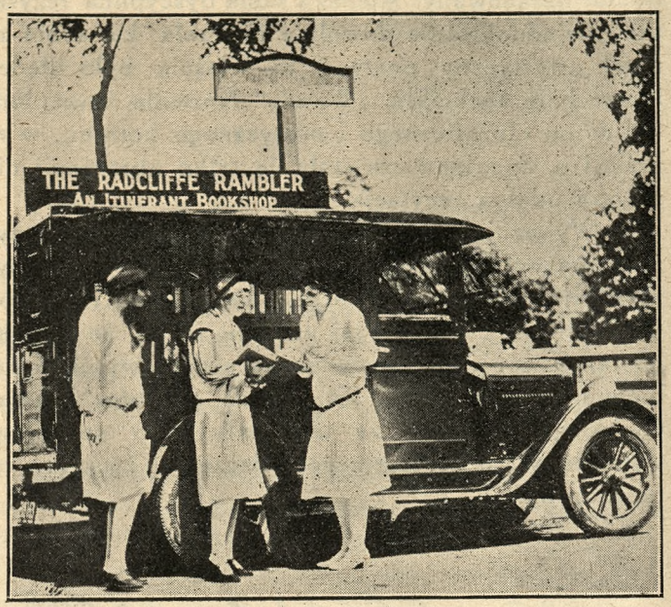

Księgarnia wędrowna amerykańska, założona i prowadzona przeważnie przez kobiety. Te bibljoteki i księgarnie ruchome rozwożą po wszystkich okolicach kraju liczne książki z literatury beletrystycznej, naukowej i fachowej. Niektóre stacjonują na drogach i ulicach w pewnych godzinach, w których pracownicy wychodzą z biur i fabryk, młodzież ze szkół i t. p.

SZKOŁY POLSKIE W CHINACH

W Charbinie założona została nowa szkoła polska: żeńskie gimnazjum misyjne sióstr Urszulanek. W tym celu przybyło z Krakowa sześć sióstr, oraz doktorka Jadwiga Sternicka, która będzie lekarką szkolną i jednocześnie nauczycielką języka łacińskiego.

Prócz tej szkoły istnieje jeszcze w Charbinie polskie gimnazjum misji katolickiej im. Henryka Sienkiewicza. W ostatnich czasach szkoły polskie w Chinach uzyskały nareszcie przywilej narodowości: dotychczas bowiem chińskie ministerstwo oświaty nakazywało im obchodzenie świąt rosyjskich i noszenie rosyjskich mundurków przez uczniów! Obecnie przymus ten skasowano. Sprawa polskości szkół naszych w Chinach jest pierwszorzędnej wagi, wszędzie bowiem znajduje się spora ilość polaków, którzy wynarodowiają się zupełnie. W kolonji polskiej w Charbinie np. zaledwie 20 procent jej członków zachowało kulturę polską i nie zatraciło łączności z krajem. To też kwestja wychowywania młodzieży w duchu polskim w szkołach, przez kolonję utrzymywanych, nabiera specjalnego znaczenia. *N. J.*

KOBIETY AMERYKAŃSKIE UZUPEŁNIAJĄ SWOJE PRAWA

Pomimo uzyskania faktycznego równouprawnienia politycznego, amerykanki nie są zadowolone ze swoich praw. Poszczególne Stany mają w swych konstytucjach różnorodne punkty sporne i wątpliwości, które trzeba uzgadniać w każdym prawie poszczególnym wypadku, czego rezultatem bywa zwykle to, że w danej chwili o prawie kobiety do objęcia jakiegoś stanowiska, lub wykonania jakiejś funkcji itp. decyduje dobra lub... gorsza wola będących u władzy czynników. Pozatem, skarżą się zawsze kobiety amerykańskie na nierówność płac mężczyzn i kobiet, przy równych kwalifikacjach zawodowych, oraz na stałe pomijanie kobiet przy nominacjach na wysokie stanowiska administracyjne.

— Jesteśmy wszędzie potrzebne, jako ekspertki—mówi Mr. Doris Stevens, przewodnicząca delegacji kobiet na Kongres panamerykański w Havanie—w każdej delegacji, w każdej komisji rządowej pracujemy zawsze w tym charakterze, oddając usługi naszą wiedzą, doświadczeniem i wykształceniem fachowem. Gdy jednak przychodzi do decyzji w danej sprawie, nie jesteśmy dopuszczone do głosu!

Ponieważ Ameryka nie należy do Ligi Narodów działaczki amerykańskie postanowiły załatwić sprawę uzyskania pełnego równouprawnienia na terenie wszechamerykańskiego Kongresu w Havanie. Narodowa partja kobiet (National Womans Party) wysłała na ten Kongres delegację ze wszystkich stanów północnych, do której przyłączyły się kobiety z Kuby i Portoriko.

Przedewszystkiem nie chciano dopuścić do głosu przewodniczącej delegacji, Miss Stevens, pod pozorem, że na Kongresie mają prawo przemawiać tylko jego członkowie, oficjalni przedstawiciele Stanów. Zdarzyło się jednak tak pomyślnie, że bezpośrednio przed panną Stevens zabierał głos prezydent Coolidge, który jednak nie przemawiał, jako przedstawiciel urzędowy. Dzielna delegatka skorzystała momentalnie z tej okazji, zapytując, jakiem prawem Kongres nie dopuszcza do głosu obywatelki Stanów, gdy przed chwilą udzielił głosu obywatelowi?! Wobec tego Miss Stevens głos otrzymała i umiała wypowiedzieć się tak przekonywująco, że Kongres uchwalił utworzenie międzystanowej komisji kobiecej, której zadaniem będzie przestudjowanie wszystkich praw i przepisów, dotyczących kobiet, i przygotowanie na przyszły Kongres, mający się odbyć w Montevideo, w r. 1933, projektu prawa, regulującego polityczne, prawne, społeczne i zawodowe stanowisko kobiet w duchu pełnego równouprawnienia.

Do komisji weszły przedstawicielki Stanów Północnych, oraz Argentyny, Kolumbji, Panamy, Salvadoru i Wenezueli. Każda z członkiń komisji ma prawo kooptacji jednej kobiety z innego Stanu do współpracy. *N. J.*

Podajemy do wiadomości Naszych Czytelniczek, że z dniem 1-go listopada r. b. ukaże się w sprzedaży „Kalendarz Dziecka i Matki", zawierający wyczerpujące informacje z dziedziny higjeny i wychowania dziecka do lat 7-miu. Poza fachowo opracowanemi działami: „Ciąża", „Niemowlęctwo", „Opieka społeczna nad dzieckiem i matką", „Pierwszy okres dzieciństwa (do lat 4-ch)", „Dziecko w wieku przedszkolnym", kalendarz będzie zawierał: informacje praktyczne dla matek z dziedziny najnowszych ulepszeń technicznych w gospodarstwie domowem, a także szereg tablic wagi, wzrostu, odżywczych wartości pokarmów, apteczkę domową, bibljoteczkę dziecka, bibljoteczkę matki i t. p. wiadomości. Wytwornie wydany kalendarz ten będzie niezbędnym informatorem podręcznym każdej matki.

Cena kalendarza — 2 złote.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz" — Warszawa Krak. Przedm. 99.

Saffa — jedna z ulic na wystawie

SAFFA

Saffa (**S**chweizerische **A**usstellung **f**ür **F**rauenarbeit)—Szwajcarska wystawa pracy kobiecej—to świadoma manifestacja zorganizowanej siły—to dzieło pracy—dla pracy pokojowej budowy i dobrobytu państwa.

Zorganizowana przez same kobiety z olbrzymim nakładem trudu, celowa i konsekwentna w każdym szczególe, imponująca swą wszechstronnością i drobiazgowem opracowaniem—Saffa może być chlubą kobiet szwajcarskich i przykładem naprawdę pouczającym dla tych wszystkich, które kiedykolwiek w podobnej organizacji wezmą udział.

Saffa będzie też niewątpliwie momentem decydującym w walce kobiety szwajcarskiej o równe prawa—tej kobiety, która umiała pokazać, jak spełnia obowiązki, wypływające niejednokrotnie z nieposiadanych przez nią praw obywatelskich.

Celem wystawy—według słów jej organizatorek—było: pokazać, jakie świadczenia niosą kobiety szwajcarskie dla dobra swego kraju i jakie jest gospodarcze znaczenie ich pracy, zachęcić młode pokolenie do pracy nad sobą i służenia ojczyźnie i dopomóc kobiecie, która pragnie, czy potrzebuje pracować, w zorjentowaniu się co do wyboru zawodu.

Celem tym była też niewątpliwie chęć wykazania siły i znaczenia pracy i organizacji społeczeństwa kobiecego w kraju, gdzie kobiety dotychczas nie mają

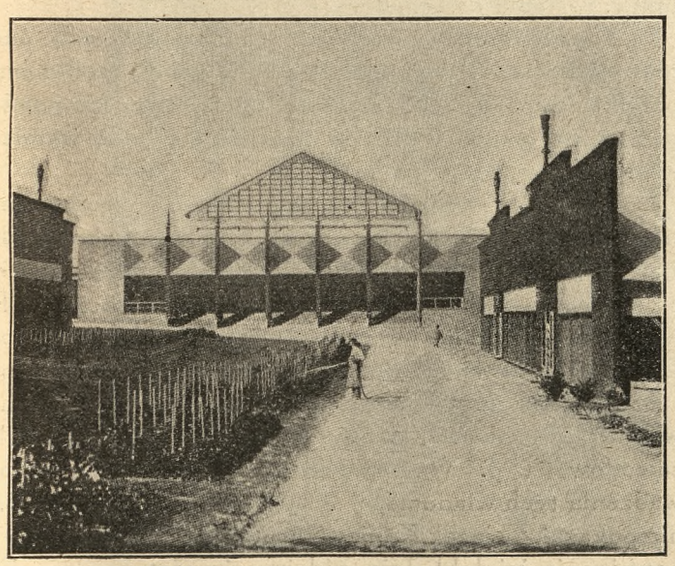

Sala kongresu i zebrań oraz pawilon nowych wynalazków

Wielki ślimak — symbol rozwoju ruchu kobiecego w Szwajcarji

Grupy dziewcząt w strojach ludowych — przedstawicielstwa kantonów.

pełni praw obywatelskich i zyskanie niezaprzeczalnych atutów do walki o te prawa.

Wystawę podzielono na 14 grup, z których każda obejmowała pewną gałąź pracy i działalności kobiecej, a więc:

1. Gospodarstwo domowe.
2. Rolnictwo i ogrodnictwo.
3. Rzemiosła.
4. Sztuki piękne i sztuka stosowana.
5. Przemysł i chałupnictwo.
6. Maszyny i wynalazki, ułatwiające pracę zawodową i gospodarską kobiet.
7. Handel, hotelarstwo, administracja.
8. Nauka—literatura—muzyka.
9. Wychowanie.
10. Praca społeczna.
11. Higjena, pielęgniarstwo, sport, gimnastyka.
12. Życie i praca kobiety szwajcarskiej—dawniej.
13. Prace amatorskie.
14. Życie i praca kobiety szwajcarskiej zagranicą.

O wszystkich tych grupach postaram się pomówić w dalszym ciągu tego sprawozdania.

Wystawa mieściła się w szeregu budynków, wzniesionych pod kierunkiem architektki Lux Guyer na placu wystawowym, na krańcach miasta.

Oficjalne otwarcie Saffy poprzedził pochód inauguracyjny, który przedefilował przez odświętnie przybrane flagami i kwieciem ulice Bernu. W pochodzie tym brało udział 2000 osób i 40 wozów, reprezentujących mniej lub więcej pomysłowo wszystkie działy wystawy, więc: przemysł, rolnictwo, handel, pracę społeczną itp. Grupa rzemiosł dała przegląd strojów kobiecych z ostatnich lat 50-ciu, w którym ogólną radość wzbudzały wielkie, bufiaste rękawy i kapelusze ze stojącemi pióropuszami—na wysokich sztucznych, fryzurach — w porównaniu z racjonalnemi i higjenicznemi strojami dzisiejszemi.

Prawdziwą sensację wywołał olbrzymi ślimak, ciągniony na ponsowo-białych wstęgach przez grono działaczek feministycznych. U stóp jego widniał napis: „La marche du suffrage féminin en Suisse"

Pochód zamykały przedstawicielstwa wszystkich kantonów w barwnych strojach ludowych.

25 sierpnia p. Schulthess—prezydent Szwajcarji, dokonał uroczystego otwarcia Saffy i w gorących słowach wyraził uznanie kobietom szwajcarskim za zorganizowanie wystawy.

Saffa wzbudziła ogromne zainteresowanie, a stały tłok we wszystkich pawilonach i liczne wycieczki z innych kantonów Szwajcarji dowodziły, że chyba wszystkie kobiety - szwajcarki wystawę zwiedzą, i że cel, któremu organizatorki Saffy poświęciły tak wiele pracy, zostanie osiągnięty.

Chciałabym w ogólnych choćby zarysach dać obraz tego wszystkiego, co przesunęło się przed memi oczyma, gdy zwiedzałam Saffę, chciałabym nie pominąć żadnej grupy, i dlatego trzymać się będę wymienionego poprzednio podziału.

Grupa I. Gospodarstwo domowe—obejmowała to wszystko, co z życiem codziennem kobiety-gospodyni jest związane; więc przedewszystkiem sprawę racjonalnego wyżywienia w oświetleniu nowoczesnych badań. Szereg tablic, opracowanych przez Instytut Fizjologiczny w Zurichu, podawał wartości odżywcze poszczególnych produktów i uczył racjonalnego zestawiania jadłospisów dla osób różnego wieku, różnych zawodów i t. p. Wzorowo urządzony teren do wprowadzenia tych wiadomości w życie—nowoczesną kuchnię pokazał Związek Kobiet-Gospodyń z Bazylei. Przypatrując się jej dokładnie, widzimy, że nietylko sposób urządzenia kuchni, ale każdy mebel, każdy szczegół naj-

drobniejszy są przemyślane i wypróbowane w praktyce; że te wszystkie drobne ułatwienia: wysuwane blaciki, wgłębienia, czy wycięcia do wstawiania misek, półeczki, czy wieszadełka — są zdobyczą codziennego trudu myślącej gospodyni i przyczyniają się rzeczywiście do ułatwienia jej pracy.

Związek Kobiet-Gospodyń z Bazylei, według słów jego przewodniczącej, która z zapałem i uprzejmością udzieliła mi szeregu wyjaśnień, jest jedyną w Szwajcarji organizacją, której cele są natury czysto praktycznej i nie wykraczają poza teren gospodarstwa kobiecego. Członkinią może być tylko kobieta, prowadząca gospodarstwo i interesująca się jego sprawami. Drogą odczytów, wystaw, praktycznych kursów, wieczorów dyskusyjnych i t.p., kształci Związek swoje członkinie i dopomaga im w doskonaleniu się fachowem.

Obok celowo urządzonej kuchni, pokazał Związek szereg praktycznych i pomysłowych przedmiotów, ułatwiających pracę gospodyni, oraz szczegółowo opracowane tablice: plan dnia gospodyni, pracowicie wypełniony od 6-ej rano do 10-ej wieczorem; rozkład zajęć w każdym tygodniu miesięcy letnich i zimowych itp.

Wzorowych kuchen, oprócz wyżej wspomnianej, wystawiono jeszcze kilka, a między innemi modelową kuchnię przyszłości, w której wszystkie maszyny i maszynki poruszane są zapomocą elektryczności.

Związek Gospodyń miasta Bernu pokazał kilka nowoczesnych i praktycznych mieszkań dla kobiet pracujących—więc przedewszystkiem jeden pokój, w którym się mieści sypialnia, gabinet do pracy, ubieralnia, a nawet—kuchnia. Umeblowanie proste, ale nadzwyczaj estetyczne, jest tak skonstruowane, że w miarę potrzeby zmienia swoje przeznaczenie: — kanapa zamienia się w łóżko gościnne (łóżko stałej mieszkanki tego pokoju ukryte jest w niszy), blat, wyciągnięty z biurka, daje stół jadalny, a umywalnia i kuchenka gazowa, zamknięte po użyciu, robią wrażenie estetycznych szafek. Mieszkania jednopokojowe i dwupokojowe z kuchnią dopełniały całości tego pokazu.

Obok tych miło i praktycznie urządzonych mieszkań, pokazano domek podmiejski, mały, skromny, drewniany, ale taki, o jakim napewno marzy niejedna z nas, aby móc w nim spędzać sobotnie popołudnia i niedzielne ranki, zdala od gwaru miejskiego, w estetycznem, choć skromnem otoczeniu.

Wystawa szkół gospodarstwa domowego zajmowała oddzielny pawilon. Praca ich, pokazana w szeregu obrazów—tablice statystyczne i różne graficzne wykresy—nie wzbudzały jednak takiego zainteresowania wśród zwiedzających tłumów, jak kuchnia jednej ze szkół, w której uczenice wypiekały różne przysmaki i częstowały niemi tłoczącą się publiczność.

I wreszcie dział, wskazujący, jak praktyczna kobieta potrafi wszystko zużytkować, i uczący drobnej, codziennej oszczędności, a w nim szereg rzeczy, zrobionych „z niczego": dziecinne komplety z podniszczonych pończoch; dywany i poduszki z małych skrawków materjałów; pracowicie ozdobiona serweta, zrobiona z kawałków podartych prześcieradeł; pantofle, fartuszki, pudełka, nawet zręczne mebelki, zrobione z nieużytecznych napozór skrzynek, i mnóstwo innych rzeczy potrzebnych, użytecznych, a wykonanych bez kosztów prawie, przez pracowite i zapobiegliwe ręce kobiece. *(c. d. n.)* *M. P*

Wzorowa kuchnia—wystawiona przez Związek Kobiet-Gospodyń z Bazylei

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE KOBIET

PRACA SPOŁECZNO - OŚWIATOWA

Cykl o zawodowem wykształceniu kobiet pragnę zakończyć działem, który dopiero od niedawna wszedł w zakres tak zwanego fachu, a zawsze, teraz i przedtem, stał na pograniczu idei i praktyczności życiowej. Przed wojną punkt ciężkości leżał właśnie w ideowości pracy, a teraz, kto wie, czy nie będzie odwrotnie i właśnie o tem chcę mówić w niniejszym artykule.

Praca społeczno-oświatowa jest obecnie w pierwszej fazie swego racjonalnego rozwoju. Pierwsze etapy jej istnienia, to były tylko szlachetne odruchy jednostek, czyny samorzutne, ogniwa, nie łączące się w łańcuch planowej działalności. W czasach niewoli tego rodzaju praca nietylko nie dawała żadnych zysków, lecz pociągała za sobą poważne niebezpieczeństwa; ludzie, pracujący na tej niwie, nie byli „zawodowcami", lecz „działaczami", i patrzyło się na nich z pełnem podziwu współczuciem.

Dzisiaj praca społeczna wyszła poza granice dorywczości i przestała się opierać na poświęceniu jednostek. Zatraciła również posmak bohaterstwa. Granice obowiązków jednostki w społeczeństwie rozszerzyły niesłychanie swe horyzonty i wgarnęły w siebie dawne bohaterstwa i ofiary. Mówi się dużo i coraz więcej o przymusowej pracy społecznej kobiet, kto wie, czy nie racjonalniejszej i bardziej potrzebnej, aniżeli kobiece przysposobienie wojskowe.

Te zmiany warunków pracy społecznej wytworzyły podniesienie poziomu wymagań: już przestały wystarczać dobre chęci i entuzjazm, tak drogocenne w czasach niewoli, a zjawiła się potrzeba u m i e j ę t n o ś c i. I ta potrzeba wytknęła drogę dalszemu rozwojowi pracy społecznej przez wprowadzenie jej do szeregu prac zawodowych.

Praca społeczna dawniej wykonywana była honorowo — nie wymagano żadnych kwalifikacyj, więc nie płacono; dziś poszukuje się już sił fachowych, wyspecjalizowanych—należy za to płacić. I płaci się. Takim oto sposobem praca społeczna, dotychczas ideowa i pozbawiona wszelkich materjalnych korzyści—stała się zawodem, tak, jak każdy inny, a przynajmniej prawie tak, jak każdy inny. Bo jednak czasy dzisiejsze, wyrosłe pod znakiem praktyczności i trzeźwości, nie zdołały na pracy społecznej wycisnąć całkowicie swego piętna; prawda, że trzeba już ukończyć szkołę pracownic społecznych, aby móc pracować na tej niwie, ale nietylko: trzeba jeszcze na dnie duszy zachować choć szczyptę tego dawnego, przedwojennego umiłowania „sprawy", która aczkolwiek nie jest żadnym spiskiem, ani tajnem stowarzyszeniem, ale jednak Sprawą, taką, przez dużą literę. To też o pracy społecznej nie mogę mówić tak, jak o innych zawodach, bo czyż można dać przepis na entuzjazm, który wszak jest czemś więcej, niż zamiłowaniem?!

Praca społeczna, dzięki swej podwójnej twarzy—idei i praktyczności,—może mieć i podwójne zastosowanie: będzie ona jedynem wyjściem z bezczynności dla dziewcząt bogatych, które zarabiać nie potrzebują, a nie chcą przejść przez życie nic nie zdziaławszy, oraz stanie się umiłowanem zajęciem tych, których środki materjalne nie pozwalają na bezinteresowne poświęcanie swego czasu. Jeśli zechcemy ją bezwarunkowo wtłoczyć w jakieś, bliższe naszej świadomości ramy, to możemy ją jedynie skojarzyć z nauczycielstwem: to samo, mniejwięcej, założenie ideowe i tej samej dozy entuzjazmu wymaga. Tylko praca społeczna jest bogatsza w swej ilości, obejmuje szerszy krąg czynów i, kto wie, czy nie jest cięższa. Działalność jej sięga, bowiem, głęboko—głębiej, aniżeli nauczycielstwo, i porusza sprawy, koło których nauczycielstwo przechodzi mimo. Ale różnorodność pracy wzmacnia zainteresowanie i satysfakcję pracującej.

Obecny rok szkolny rozpoczął się pod znakiem intensywnej pracy na tem polu, gdyż zostały otworzone aż dwie nowe uczelnie pracowników społecznych: jedna w Poznaniu (ul. Podgórna 12 b) i druga w Warszawie, założona przez Polską Macierz Szkolną (Krak. Przedm. 7). Obie te szkoły mają kurs dwuletni, a jako cenzus naukowy wymagane jest ukończenie szkoły średniej. Ponieważ rozpoczynają dopiero swą działalność, nic jeszcze powiedzieć o nich więcej nie można; kilka słów natomiast chciałabym poświęcić tym szkołom pracowników społecznych, ktore istnieją już od paru lat. Mamy ich tylko dwie:— Szkołę Pracy Społecznej im. A. Baranieckiego w Krakowie (Karmelicka 32) i Państwowe Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej, pod kierownictwem p. Orsza Radlińskiej. Szkoła im. A. Baranieckiego ma już w swej nazwie starą, przedwojenną tradycję, którą kultywuje nadal. Nie jest ona jednak szkołą nowego typu, a raczej swą dawną treść nagina do wymagań dnia dzisiejszego. Pierwszą szkołą pracy społecznej, stworzoną pod naciskiem wymagań doby obecnej, jest Państwowe Studjum Pracy Społeczno-Oświatowej.

Powstało ono w r. 1925 z inicjatywy prywatnych instytucyj, jak: Centralne biuro Kursów dla dorosłych, Związek Kółek rolniczych, Wydział wychowawczy polsk. Związku Stow. spożywców, Związek bibljotekarzy polskich, Wolna Wszechnica. Warunki przyjęcia: ukończonych 20 lat, matura, 4 semestry studjów w którejś z wyższych uczelni, ewentualnie kolokwium i rok praktyki w pracy społecznej. Kurs jest dwuletni, działów 4, a więc: 1) nauczanie dorosłych i młodzieży pracującej; 2) organizacja życia społecznego, 3) bibljotekarstwo; 4) opieka nad matką i dzieckiem

Oprócz powyższych szkół w tym roku został otwarty przez Koło młodych ziemianek dwumiesięczny kurs gospodarczo-społeczny w Nałęczowie. Program kursu obejmuje wykłady teoretyczne i zajęcia praktyczne. Jako minimum jest wyznaczone średnie wykształcenie.

Jak dotychczas, rozporządzamy więc pięcioma szkołami tego typu, co w porównaniu z zagranicą jest jednak bardzo mało, bo w Niemczech istnieje takich szkół 30, w Stanach Zjednoczonych 23, w Wielkiej Brytanji zaś 10.

Jest to jednak początek, gdyż dopiero w ciągu dwóch ostatnich lat wzrosło poważnie zapotrzebowanie pracowników społecznych. Szczególniej Kresy wschodnie, a także Pomorze — gwałtownie dopominają się o działaczy, którzyby im pomogli jakoś bardziej po polsku urządzić życie społeczne. Przytem nowa ustawa o bibljotekach gminnych wywołała duże zapotrzebowanie odpowiednich sił fachowych. Droga do pracy otwarta, zarówno dla „honorowych" pracowniczek, jak i dla tych, które na tem polu chciałyby zabezpieczyć sobie byt. Dziedzina nowa, można pchnąć ją na nowe tory i roztworzyć jej dalekie horyzonty. Tylko trzeba rąk do pracy i... serc dla zapału.

Zofja Miszewska.

WYSTAWA BERLIŃSKA „ODŻYWIANIE"

Białko zwierzęce tylko wtedy zostaje należycie strawione i przyswojone organizmowi, jeśli ma alkaliczną przeciwwagę w postaci spożywanych równocześnie jarzyn i owoców. Jako dowód panujących dotąd, błędnych pod tym względem pojęć, przedstawione są spisy potraw restauracyj miejscowych, zawierające na 105 dań jedynie 20 bezmięsnych. Wprost przeciwny stosunek widzimy w jadłospisach amerykańskich, gdzie na 110 dań — 87 jest bezmięsnych. Dalszym argumentem, popierającym nową teorję, są przykłady, przytoczone z życia sportowego. W zawodach, wymagających dużego wysiłku fizycznego—w marszach, biegach, wyścigach—zwyciężają wegetarjanie i antialkoholicy.

Wystawa berlińska „Odżywianie" ilustruje i popularyzuje znakomicie nowe żywnościowe wskazania, które, za przykładem Ameryki i krajów północnych, od szeregu lat podnoszone są przez uczonych i higjenistów niemieckich w całym szeregu naukowych i popularnych publikacyj. Niezmiernie bogata literatura tej treści wykazuje nazwiska Regnara Berga, Marcina Vogla, A. Juckenacka, M. Winckla i całego szeregu uczonych, grupujących się około drezdeńskiego Muzeum higjenicznego, którzy z punktu widzenia nauki i gospodarczego ujęcia rzeczy wzywają do reformy dotychczasowych zasad odżywiania. Wraz z rozwojem nauki chemji i fizjologji odżywiania, z odkryciem witamin, jako pierwszorzędnie ważnego czynnika biologicznego, i zrozumieniem roli, jaką w organizmie odgrywają sole odżywcze,—niezmiernie zbogaconą została wiedza nasza o istocie odżywiania, co doprowadziło do gruntownej rewizji dotychczas uznawanych pojęć.

Osobny dział pawilonu I poświęcony jest rolnictwu i ogrodownictwu, jako podstawom pożywienia. Przedstawione są zatem kolejno właściwości różnych terenów i ziemi, przeobrażenia, spowodowane uprawą, podnoszenie wydajności terenu; życie roślin, fizjologiczne i biologiczne procesy, zachodzące w nich przy powstawaniu pożywienia, choroby roślin, uprawa poszczególnych zbóż, owoców i jarzyn — powiększenie rentowności zbiorów.

Plastyczne pokazy przedstawiają pożywność, wydajność i taniość ziemniaków, ryżu (niepolerowanego), zalecając je, jako strawę codzienną, tembardziej, że dają się przyrządzać w najrozmaitszy sposób. Przedstawiono na talerzach trzydzieści różnych potraw ziemniaczanych, a w specjalnym kiosku ryżowym (Reispalast) podawano do skosztowania ryż w różnych przyprawach. Rozdawane równocześnie przepisy wykazują sto różnych sposobów przyprawiania ryżu.

Co się tyczy hodowli zwierząt, to tutaj zalecane jest umiarkowanie, stosownie do propagowanej zmniejszonej konsumcji. Świnia przedstawiona jest, jako najgroźniejszy konkurent człowieka w zdobywaniu żywności. Z tego, co zjada, oddaje człowiekowi zaledwie 15 — 20%; — nadmierna hodowla świń jest zatem szkodliwa i świadczy o niegospodarności.

Sala II—„Technik"—obejmuje pokazy dostosowania odkryć z dziedziny przemysłu do wymagań życia i nowych teoryj żywnościowych. W oczach publiczności dokonywa się cały szereg procesów preparowania środków żywności w sposób racjonalny, podnoszący w pełnej mierze ich właściwości odżywcze. A zatem: młyn, w którym mielone ziarno, pozbawione wierzchniej łuski, zachowuje nietknięte wewnętrzne uwarstwienia, zawierające części najpożywniejsze: białko i sole odżywcze. Suszarnia owoców i jarzyn gdzie suszenie odbywa się z wykluczeniem powietrza i przy niskiej temperaturze, nieprzekraczającej 50°, dzięki czemu zachowane zostają witaminy. Wzorowe, higjeniczne piekarnie pieczywa wykwintnego, sucharków, biszkoptów, i mechaniczna piekarnia chleba, wypiekająca dziennie 20.000 bochenków, przy współpracy zaledwie kilkunastu pracowników. Gotowe, wystudzone bochenki, zawinięte każdy w papier woskowy, wyrzucone zostają z maszyny. Wytwórnia margaryny, dostarczającej pełnowartościowego tłuszczu, który tak smakiem, jak i zawartością, z masłem równać się może. Przeróbki olei, które szerokim warstwom ludności inne, droższe tłuszcze zastępować muszą. Dalej

wyrób napojów bezalkoholowych, palarnia kawy bezkofeinowej, palarnia kawy zbożowej, znajdującej w Niemczech coraz szersze zastosowanie, i cały szereg innych żywnościowych przetwórni.

W pawilonie III zobrazowany jest teren działalności kobiety-gospodyni. W jej rękach spoczywa zarząd domem i sprawa wyżywienia rodziny, to też uświadomienie jej wszechstronne i pouczenie o ciążących na niej obowiązkach było jednem z głównych zamierzeń Wystawy. Zapoznajemy się więc przedewszystkiem z szeregiem typów kuchni różnego rodzaju: kuchni robotniczej, włościańskiej, rodziny średniozamożnej. Rozmiary ich, urządzenie, rozmieszczenie sprzętów, celowość ich—obmyślone tak, by jako wzór posłużyć mogły. W kuchniach tych odbywają się codziennie pokazy gotowania obiadów, prowadzone przez nauczycielki gospodarstwa domowego. Jadłospis, proporcje, zastosowane ściśle do potrzeb danej rodziny, jej możności finansowej, przyzwyczajeń.

Szczegółowe wyliczenie i zestawienie potrzebnych organizmowi kaloryj i składników odżywczych, jakoteż ceny produktów. Gotowanie odbywa się w sposób, zastosowany do najnowszych wymagań, nietylko higjeny, ale i organizacji pracy. Gotowanie możliwie najkrótsze dla zachowania wartości witaminowej pokarmów; wykluczone wszelkie obgotowywanie, wyjałowiające produkty; oszczędność, najdalej posunięta w doborze, proporcji i niemarnowaniu najmniejszej części prowjantu. Ugotowany obiad stawiany jest na odpowiednio nakrytym stole ze szczegółowym napisem, co zawiera, na ile osób i dla jakiej sfery przeznaczony.

Obok pokazów, jak być powinno—cały szereg zestawień, czego należy się wystrzegać i unikać. Wystawione na talerzach obiady o nieracjonalnie zestawionych daniach. Obiady kosztowne, a niezdrowe, z powodu złego doboru produktów, niewłaściwej proporcji, lub też nieprawidłowego przyrządzenia pokarmów.

Na długim szeregu tablic unaocznione są wykazy, co i w jakich proporcjach jadać powinna rodzina, stosownie do pory roku, zamieszkania (w mieście czy na wsi), ilości osób, funduszów, jakiemi rozporządza.

Pozatem pokazy ulepszonych, lepiej do potrzeb obecnych dostosowanych mebli, naczyń, przyrządów.

Dział cały gospodarczo-kuchenny wystawy zorganizowany został przez kobiece stowarzyszenia i związki gospodyń miejskich i wiejskich. Główną rolę odegrały tu kobiety, pracujące zawodowo w gospodarstwie, przedewszystkiem nauczycielstwo licznych szkół gospodarczych. One to są pionierkami i szerzycielkami nowych idei. Odnośne czynniki w Ministerstwie zrozumiały, iż trafienie do sumienia licznych rzesz gospodyń i oduczenie ich nawyków i metod, od pokoleń stosowanych, nie będzie rzeczą łatwą; najniezawodniejszym zaś sposobem jest, jak zawsze, działanie przez szkołę. To też szkoła gospodarcza — względnie działy gospodarcze w szkole powszechnej—otoczone są najtroskliwszą opieką rządu.

Znalazł się na wystawie cały szereg niezmiernie zajmujących pokazów z tego zakresu. Są to kuchnie, urządzone jako warsztaty pracy dla nauki gospodarstwa w szkole. Wystawione są potrójne typy: kuchnia szkolna w mieście, na wsi i kuchnia wędrowna, mająca służyć do urządzania kursów wędrownych po wsiach, wszędzie tam, gdzie niema odpowiedniego działu w szkole powszechnej. Urządzaniem kursów powyższych zajmuje się niemiecki Czerwony Krzyż. Nauka gospodarstwa w szkole i na kursach obejmuje całokształt gospodarstwa kobiecego: gotowanie, chemja środków spożywczych, porządki domowe, pranie, szycie, pielęgnacja i odżywianie dziecka. W ciągu r. 1927 urządzono kursów wędrownych 6, 8 i 12-tygodniowych—770, które wykształciły do 14.000 dziewcząt i gospodyń po wsiach. W szkołach gospodarczych wiejskich pobierało naukę w ciągu r. 1927 — 16.200 uczenic. Liczba szkół gospodarczych wzrasta z roku na rok. W szkołach dokształcających dla robotnic również przechodzi się naukę gospodarstwa — korzystało z niej wciągu ubiegłego roku 233.000 uczenic. Nakoniec, specjalny rodzaj szkoły gospodarczej w Niemczech, to tak zwana „Frauenschule", gdzie pobierają roczną naukę absolwentki liceów i gimnazjów, by przygotować się do przyszłego zawodu gospodyni i matki. Seminarjów nauczycielskich, przygotowujących nauczycielki gospodarstwa dla szkół wiejskich i miejskich, jest 22.

Dla tychże nauczycielek urządzane bywają na Wystawie parodniowe kursy gospodarczo-żywnościowe, na które zjeżdżają się słuchaczki z całego kraju. Kierownikiem kursów jest jeden z inicjatorów wystawy Dr. Wintcel, który w specjalnie na miejscu urządzonem laboratorjum wykonuje doświadczenia z zakresu chemji żywnościowej. Wpobliżu znajduje się sala wykładowa i dział „Wychowanie i nauka", gdzie zgromadzona jest literatura, tycząca się kwestji odżywiania, dietetyki i higjeny, tak prace naukowe, jak i popularne podręczniki. Nakoniec szereg odpowiednich, naukowo dostosowanych filmów uzupełnia pokazy niezmiernie bogatej i wszechstronnie ujętej Wystawy berlińskiej.

Nie ulega wątpliwości, że potężny, zbiorowy wysiłek, jaki się na nią złożył, doprowadzi do zamierzonego rezultatu, to jest do pogłębienia wiadomości ogółu, że odżywianie jest najważniejszą dziedziną pielęgnacji zdrowia; że, odbudowując człowieka, warunkuje jego zdolność do twórczego czynu, w myśl powiedzenia badacza fińskiego prof. Jerzego von Wendta: „Przyszłość należy do tych narodów, które potrafią najlepiej dostosować się do postulatów nowożytnej nauki odżywiania".

Kamilla Chołoniewska.

W SEZONIE POLOWAŃ

Kiedy mieszkanki miasta, zwłaszcza te mniej zamożne, uważają wszelką zwierzynę za zbytkowny przysmak, stosunkowo rzadko zjawiający się na ich stole,—panie na głuchej prowincji nieraz nie wiedzą, co mają począć z obfitemi rezultatami polowań mężów, synów i braci. Niezawsze i nie wszędzie można to wszystko spieniężyć, a zwierzyna się tak prędko przejada! Trzeba się więc uciec do rozmaitych sposobów konserwowania. Z ptactwa dzikiego bażant w piórach, zawieszony na chłodzie, może wisieć miesiąc cały (wczasie mrozów znacznie dłużej). To samo dotyczy nie spotykanych prawie w Kongresówce, a na Kresach Wschodnich bardzo licznych cietrzewi, pardw, znacznie rzadszych, lecz wybornych jarząbków, no i jedynych liczniejszych przedstawicielek dzikiego ptactwa—kuropatw. Ptak nieskubany i niepaproszony wisieć może na chłodzie bardzo długo. W dawnej Rosji, obfitującej w olbrzymie ilości zwierzyny, jedzono głównie ptactwo, zając tam był w pogardzie, jadła go tylko ostatnia nędza, lub przemyślniejsze, a mniej przesądne gospodynie używały na pasztet.

Otóż w Rosji, zamrożone jarząbki, kuropatwy i przepiórki przechowywano w lodowniach, lub chłodniach rok cały, i nie było tam nigdy specjalnego sezonu na zwierzynę. W czerwcu i lipcu można było mieć świeże jarząbki, a w styczniu i lutym młode dzikie kaczki,—te ostatnie, jako zwierzynę letnią, zamrażano sztucznie, w taki mniej więcej sposób, jak się w puszce ukręca lody. Jarząbki, zastrzelone wczasie wielkich mrozów, pozostawiano na dobę wprost na dworze, poczem przenoszono do chłodni o temperaturze niżej zera i przechowywano nietylko do następnej jesieni, lecz nieraz lat parę. Kiedy w Moskwie, w pierwszych latach bolszewizmu, nie można było zdobyć kawałka świeżej wołowiny, sama kupowałam doskonałe przepiórki i cietrzewie z olbrzymich chłodni „Ochotnawo riada“ — rynku wszelkich przysmaków. Oczywiście, sprzedawano je tylko znajomym i to w największej tajemnicy.

Przy naszym zmiennym klimacie trudno byłoby ten sposób przechowywania stosować. Dla zwolenniczek starych, wypróbowanych systemów, przypomnę stosowane powszechnie po dworach dawnych zalewanie upieczonych kuropatw i jarząbków topionem masłem.

Układano je w kamiennych garnkach, każdy rząd przelany masłem, aby nie pozostało nigdzie najmniejszej pustej przestrzeni. Gdy garnek się napełnił i masło ostygło, lało się na wierzch cienką warstewkę baraniego łoju, aby powietrze do masła nie dochodziło, zawiązywało się słój rozmoczonym pęcherzem i ptaszki mogły sobie stać chociaż do lata. Oczywiście, po otworzeniu takiego garnka należało zawartość jego niedługo skonsumować.

Inny, oszczędniejszy sposób polegał na zamoczeniu upieczonych ptaszków w stygnącym łoju baranim. Powtarzało się to kilkakrotnie, poczem rozwieszało się je gdzieś w niedostępnym dla myszy chłodnym składzie. Wrazie potrzeby, tłuszcz barani łatwo schodził, ptaszki, opłókane w gorącej wodzie, duszono ze słoninką i ze śmietaną, i prawie się nie różniły od świeżych.

Jeżeli jednak dzisiaj mówię o tych sposobach, z których pierwszy — ten w maśle—jest nieprawdopodobnie kosztowny, to tylko, jako o wspomnieniach z odległych czasów. Dzisiaj zwierzynę konserwuje się tylko, sterylizując ją w słojach. Najlepiej do tego jest, oczywiście, używać aparatu Wecka. Ponieważ jednak słoje naszych krajowych fabryk przeważnie są również zaopatrzone w sprężyny, przyciskające szczelnie pokrywki, w braku Wecka możemy je gotować w każdym dużym kotle, podkładając na dno jego dziurkowane denko, szmatę, lub garść siana. Słoje należy też przedzielić pomiędzy sobą i oddzielić od ścianek kotła szmatami lub sianem, aby przy gotowaniu nie tłukły się jedne o drugie i nie popękały. Konserwować najlepiej ptaki upieczone tylko w słoninie, czy maśle, zalewając je tłuszczem, w którym się dusiły. Są jednak dobre gospodynie, które twierdzą, że lepiej jest odrazu zaprawić sos mąką i śmietaną, zalać tym sosem zwierzynę i razem sterylizować. W każdym razie dobrze wykonana sterylizacja chroni zupełnie od zepsucia zawartość słoja. Żeby być pewnym, że wszystkie szkodliwe drobnoustroje zostały zabite, najlepiej w dwadzieścia cztery godziny po pierwszem gotowaniu, powtórzyć je. Pierwszy raz należy gotować od chwili, gdy woda zawrze, 40—45 minut, poraz drugi—tylko 5—10 minut. Tak zakonserwowane ptaszki można jeść przez całą zimę i wiosnę, do nastania ciepła (przez lato najlepiej przyrządzonych konserw mięsnych trzymać nie radzę). Oprócz sterylizowania zwierzyny można część jej przerobić na pasztety, poskładać w puszki i terynki od pasztetu strassburskiego (w braku ich małe kamienne garnuszki doskonale się nadają do tego użytku). Pasztety takie dla trwałości zalewa się stygnącym łojem baranim, który przed użyciem łatwo się da usunąć. Pasztety takie zimą można konserwować parę miesięcy.

Zające, sarny i dziki w skórze mogą wisieć na mrozie bardzo długo. Sarny i dziki, zwykle wypaproszone jeszcze w lesie, napełnia się drobno porąbanemi gałązkami choiny, co je chroni od robactwa.

Zające bez skóry, tak, jak je sprzedają obecnie w Warszawie, długo się konserwować nie dają. Najlepiej jest zaraz po kupieniu zamarynować w lekkim occie z korzeniami. W takiej marynacie mogą leżeć tygodni parę. Tak samo marynuje się sarninę. Mięso dzika potrzebuje bardziej ostrej marynaty, gdyż na świeżo jest bez smaku i ma pewien nieprzyjemny zapach. Szynki i polędwice z dzika, zamarynowane i uwędzone, jak zwykłe wieprzowe, są wyborne i można

je użyć na surowo, — naturalnie, należy je wędzić czas dłuższy i w zupełnie zimnym dymie, — jak się wędzi na Kresach wszystkie wędliny. Chcąc użyć mięso dzika na kiełbasy lub salami, należy brać chociaż trzecią część przerastałej wieprzowiny, gdyż samo mięso dzika jest zbyt chude. Wędliny z dzika odznaczają się ślicznym, ciemno-wiśniowym kolorem. Z sarny najbardziej eleganckiem pieczystem jest comber, potem idą tylne pieczenie. Łopatki mniej ładnie dają się krajać. Chcąc je ładniej podać, należy przed upieczeniem wyluzować z nich kości, mięso zwinąć w rulon i dopiero piec, jak zwykle. Z żeberek robi się wyborne potrawki, dusząc je ze słoninką i śmietaną; używa się ich też na pasztety.

Użytek z zająca jest znany powszechnie, potrawy z niego urozmaicać można bez końca; natomiast wiele gospodyń staje bezradnie przed upolowanym łosiem lub — niedźwiedziem. Mięso łosia należy traktować zupełnie, jak wołowinę, jednak jak wołowinę marynowaną, czyli robić zeń rozmaite pieczenie duszone z przeróżnemi sosami i zrazy. Do smażenia mięso to jest zbyt twarde. Wyborna jest galareta lub sałata z pyska łosia, „łosiowe chrapy" — gotuje się tak, jak pysk wołowy, do którego smakiem są zbliżone. Z niedźwiedzia używa się tylko szynki i łapy. Szynki, marynowane i wędzone, jak zwykłe szynki wieprzowe, jedzą się na surowo. Z łap gotuje się wyborna, za wielki przysmak przez myśliwych uważana, galareta. Muszę wyznać, że jej nigdy nie jadłam, — natomiast szynki jadałam nieraz i były zawsze bardzo smaczne. Przy sarninie zapomniałam nadmienić, że przysmakiem wielkim na śniadaniach myśliwskich są tak zwane „narogi". Są to wnętrzności sarnie (płuca, serce, wątroba), w szarym sosie z rodzynkami. Danie amatorskie: jedni za tem przepadają, inni do ust nie biorą. *Pani Elżbieta.*

SZYNKA NA GORĄCO

Miękki kawał szynki wędzonej, wagi nie mniej, niż dwa kilo, zawinąć w kawałek cienkiego płótna i ugotować z jarzynami i korzeniami, jak zwykle się gotuje zupę na wędlinie. Smak ten należy też użyć na wyborny kapuśniak, czy grochówkę. Gdy szynka już prawie miękka, wyjąć ją z rosołu, płótno zdjąć, mięso przełożyć do niedużego garnka, zalać dwiema szklankami białego wina i kieliszkiem madery lub węgrzyna. Zrobić rumianą zaprażkę z łyżki mąki i łyżki masła. Rozprowadzić rosołem od szynki do gęstości zwykłego sosu. Polać tym sosem szynkę,—wraz z winem powinien on ją pokrywać zupełnie. Rondel zakryć i dusić na wolnym ogniu około trzech kwadransy. Szynkę wyjąć, pokrajać na cienkie plastry wpoprzek włókien, ułożyć pośrodku półmiska i obłożyć zielonym groszkiem lub purée kartoflanem. Polać uformowanym sosem, lub podać go w sosjerce.

POMIDORY NADZIEWANE NA PRZEKĄSKĘ.

Ściąć wierzchy z dużych, dojrzałych pomidorów. Łyżeczką wyjąć ziarnka, nie naruszając ścianek. Ile mamy dużych pomidorów, tyle małych kartofli ugotować w łupinkach. Na dwanaście pomidorów ugotować na twardo dwa jaja. Żółtka utrzeć na gęsty sos, z sokiem z całej cytryny lub dwiema łyżkami octu, łyżeczką musztardy i czterema łyżkami oliwy; kartofle pokrajać w drobną kostkę, wymięszać z tym sosem. (Gdyby sosu było zbyt mało, rozprowadzić go zimnym rosołem). Osolić tę sałatkę. Napełnić nią pomidory, przykryć ściętemi wierzchami. Wynieść na chłód na godzin parę. Można też do kartoflanej sałatki dodać drobno pokrajanego śledzia-ulika, lub parę drobno posiekanych sardynek.

„WINA OWOCOWE"

KSIĄŻECZKA TA UCZY WYROBU WIN SPOSOBEM DOMOWYM Z OWOCÓW I JAGÓD

Cena 1 zł. 50 gr.
z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysyła Administracja „ŻYCIA PRAKTYCZNEGO", Warszawa, Krak. - Przedm. 99, po otrzymaniu należności przekazem, lub w znaczkach pocztowych. Za zaliczeniem nie wysyłamy.

KOMPLETY
HAFTU I TKACTWA
ARTYSTYCZNEGO

PROWADZONE PRZEZ STAŁĄ WSPÓŁPRACOWNICZKĘ DZIAŁU ROBÓT W „BLUSZCZU".

INFORMACJE TELEFONICZNE

do g. 10-ej RANO i od 3 do 5 PP. — TEL. 273-34

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrji, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr. **Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.**

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu"—Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O.—Warszawa 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ". Sp. z ogr. odp.
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelna) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239-40.
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ" Rymarska 8, tel. 244-18.